

www.cisi.pl

KOTWICA

5 (111)
wrzesień/październik
2020
ISSN 1642-6533

Pismo Wspólnoty Cichych Pracowników Krzyża poświęcone chorym i niepełnosprawnym

1914-1984



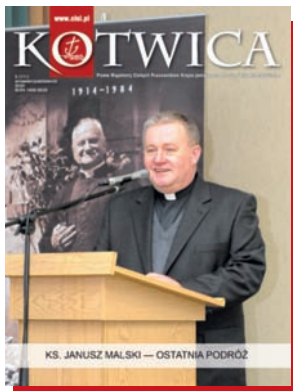
KS. JANUSZ MALSKI — OSTATNIA PODRÓŻ



„Odprawiłam godzinę adoracji dziękczynnej za udzielone mi łaski i chorobę całą; choroba jest także wielką łaską. Cztery miesiące chorowałam, ale nie przypominam sobie, abym jedną minutę z tego straciła, wszystko dla Boga i dusz, wszędzie pragnę Mu być wierna. W tej adoracji poznałam całą opiekę i dobroć, jaką mnie Jezus otaczał i bronił od wszelkiego złego”.

św. Faustyna Kowalska, Dzienniczek, nr 1062

Ks. Janusz Malski odszedł do Pana 5 października 2020 roku,
we wspomnienie św. Faustyny Kowalskiej.
Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie,
a Światłość Wiekuista niechaj mu świeci
na wieki wieków.
Amen.



KOTWICA

Nr 5 (111) wrzesień / październik 2020

Wydawca:

CISI PRACOWNICY KRZYŻA

ul. bł. Luigiego Novarese 2, 67-200 Głogów

tel. 76 833 32 97 tel./fax 76 832 25 87

e-mail: cpk@lg.onet.pl;

www.cisi.pl, www.kotwica.cisi.pl, www.luiginovarese.org

Ofiara na działalność charytatywną wspólnoty:

BZWBK SA I/O Głogów

Nr konta: 66 1090 2079 0000 0005 4404 4515

Redaktor naczelny:

ks. Janusz Malski SODC

Redaktor wydawniczy:

Izabela Rutkowska

Zespół redakcyjny:

Mieczysław Guzewicz

s. Ewa Figura SODC

s. Beata Dyko SODC

ks. Radosław Horbatowski

Adam Stelmach

Korekta:

Joanna Szałapska-Jaskuła

Współpraca przy obecnym numerze:

Ks. Stanisław Staśko

Ks. Adrian Put

Anna Wiśniewska

Lucyna Żółkiewska

Andrzej Maciejewski

Redakcja L'Ancora

Okladka przednia: ks. Janusz Malski podczas konferencji „Miłość i cierpienie”, fot. br. Paweł Gondek

Okladka tylna: ks. Janusz w Głogowie,

fot. Piotr Krzemiński

Współpraca z czasopismem **L'Ancora** – Rzym

Nakład: 6000 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiacji artykułów i listów, dokonywania skrótów i zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.



Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Dwumiesięcznik dofinansowany ze środków PFRON

SPIS TREŚCI

PRZESŁANIE

3 *Ks. Janusz Malski SODC* DRODZY CZYTELNICY!

TRWAŁE PRZEWODNICTWO

4 *Ks. Janusz Malski SODC* BŁ. LUIGI NOVARESE I DUSZPASTERSKA SŁUŻBA NA RZECZ CHORYCH I NIEPEŁNOSPRAWNYCH

7 *Cisi Pracownicy Krzyża* MAMY TRZECZ DIAKONÓW

FUNDAMENTY

8 *Papież Franciszek* WSZYSCY JESTEŚMY BRAĆMI

DOM

10 *Cisi Pracownicy Krzyża* KS. JANUSZ – CICHY PRACOWNIK KRZYŻA

12 *Cisi Pracownicy Krzyża* TO BYŁO JAK GROM Z JASNEGO NIEBA

14 *Cisi Pracownicy Krzyża* OSTATNIA PODRÓŻ – MONTICHIARI

20 *Lucyna Żółkiewska* UROCZyste pożegnanie w kolegiacie

NASZA PRZYSTAŃ

23 TRUDNY CZAS DLA NASZYCH GOŚCI

24 JAK FENIKS

25 WAKACYJNE WSPOMNIENIA

WIADOMOŚCI

27 *Ks. Adrian Put* KOLEGIATA GŁOGOWSKA

WYWIAD

30 *Anna Wiśniewska* ALPAKI – NOWA MIŁOŚĆ

34 *Ks. Stanisław Staśko* BEZ JEZUSA KRZYŻ NIE MA SENSU

SPORT

40 *Andrzej Maciejewski* BOCCIA W CZASIE PANDEMII

DUCHOWOŚĆ

42 *Mieczysław Guzewicz* CIERPIENIE W ŻYCIU ŚW. JÓZEFA

46 *S. Beata Dyko SODC* ŚWIĘTY UŚMIECHNIĘTY

PRZESŁANIE

Ks. Janusz Malski Moderator Generalny Cichych Pracowników Krzyża



DRODZY CZYTELNICY!

Krzyż jest objawieniem największej miłości,
jaką Bóg objawił w swoim Synu
do każdego z nas.

*Ostatni sms, jaki ks. Janusz Malski
do nas napisał.*



Bł. Luigi Novarese i duszpasterska służba na rzecz chorych i niepełnosprawnych

Ks. Janusz Malski

Działalność duszpasterska prał. Luigiego Novarese, która dojrzewała pośród wielu obowiązków pełnionych w Watykanie, w Sekretariacie Stanu, ujrzała światło dzienne wraz z rozwojem założonych przez niego dzieł. W każdej tego typu działalności pragnął on, by osoba chora czy niepełnosprawna mogła być osobą odpowiedzialną za swoje czyny w codziennym życiu. Jego celem była pomoc takiej osobie

w dojrzewaniu do uświadomienia sobie roli oraz specyficznej misji, jaką posiada ona w społeczeństwie i w Kościele.

Pisał: „Nie tylko należy być w Kościele Bożym apostołem pobożnego samarytanina, który przyjmuje i opatruje rany cierpiącego brata, czy też duchowym towarzyszeniem otwartym na coraz większego ducha miłości do wszystkich cierpiących świa-

TRWAŁE PRZEWODNICTWO

ta, ale należy nam być po prostu aktywnym apostołem samych chorych otwartych na innych chorych, który będzie przekonywał do tego, by być użytecznym narzędziem w rękach Niepokalanej – dla zbawienia świata”.

Prałat Novarese zawsze widział w chorych nie tyle przedmioty troski, ile osoby bardziej zdolne do okazywania miłości niż osoby zdrowe. Uważał je za pierwszych głosicieli ewangelicznego orędzia zbawienia i radości, jaka tryska z Krzyża i ze Zmartwychwstania Chrystusa. Osoby zdrowe znajdują się przy nich na drugim miejscu, jako „pokorni współpracownicy”.

Pośród pierwszych metod jego pastoralnej aktywności należy wymienić pisanie listów. Napisał setki listów do osób, które prosiły o duchowe wsparcie w swojej trudnej sytuacji cierpienia, zadawały pytania o sens swego życia, tak bardzo naznaczonego krzyżem. Jego odpowiedzi nie były nigdy długie, ale zawsze intensywne w treści, trafne w radach, szybkie w decyzjach – takie jak i jego temperament. Pomógł w ten sposób przekroczyć próg osamotnienia i desperacji niezliczonej grupie ludzi. Dbał o schowane w ich pełnej bólu egzystencji ziarno zmartwychwstania, oświecając światłem wiary i słońcem łaski.

Swój obowiązek duchowego przewodzenia i stymulowania apostolską aktywnością realizował także poprzez działalność wydawniczą. Rozpoczęła się ona w roku 1950 poprzez wydawanie czasopisma „Kotwica” (L’Ancora) oraz bardziej już specjalistycznego pisma „L’Ancora nell’Unità di Salute”. Celem tych czasopism było podjęcie refleksji nad misterium cierpienia w ludzkim życiu. Główne zagadnienia koncentrowały się wokół problemów: „Dlaczego cierpienie?”, „Akceptacja cierpienia”, „Powołanie chorego”, „Duchowa podstawa owocnego apostołatu”, „Apostołat zrzeszony i Mistyczne Ciało”.

Przed rokiem 1950, w ramach przygotowań do Roku Świętego, prał. Novarese postanowił też zaangażować chorych do działalności radiofonicznej. Nadawanie audycji z Radia Watykańskiego umożli-



wił im papież Pius XII. Program nosił nazwę „Kwadrans pocieszenia”. To stworzyło nową, ważną okazję do rozprzestrzeniania tego charyzmatu, jakiemu zawierzył prałat, szczególnie pośród tych osób, którym choroba nie pozwalała na przemieszczanie się. Wtedy też, podczas jednej z pierwszych audycji (29 grudnia 1949 r.), zostało wygłoszone tą drogą orędzie Ojca Świętego do chorych, w którym podkreślił on tę szczególną rolę, jaką pełnią oni w Kościele i społeczeństwie.

W roku 1952 natomiast rozpoczął organizowanie ćwiczeń duchowych dla chorych, niepełnosprawnych i cierpiących. Pierwsze takie rekolekcje odbyły się przy sanktuarium Madonny w Oropie. Zgromadziło się wtedy 48 osób przybyłych z róż-

nych regionów Włoch, 12 z nich było na noszach. Taka propozycja pastoralna była wtedy czymś zupełnie nowym, także w środowiskach kościelnych – wcześniej bowiem takie dni skupienia, rekolekcji były zarezerwowane dla nielicznych, wybranych osób, głównie kapłanów i osób zakonnych. Novarese po tym pierwszym doświadczeniu napisał:

„Organizacja kursów ćwiczeń duchowych na temat dowartościowania cierpienia jest naszym obowiązkiem, naszą szczególną aktywnością w celu pogłębienia i zintensyfikowania naszych celów. Taka jest cecha charakterystyczna tego apostolatu. Jest to zupełnie nowa forma, jaka rodzi się we Włoszech, a która i rozprzestrzeni się dalej – ku większej chwale Boga i Jego niebieskiej Matki, poprzez realizację Jej przesłań danych światu w Lourdes i Fatimie” (L’Ancora 11, 1953, s. 9).

Podczas rekolekcji można było jednak doświadczyć problemów logistycznych związanych z otoczeniem – nieprzystosowanym do potrzeb niepełnosprawnych i ciężko chorych. Powstał więc pomysł zbudowania odpowiedniego domu. Pierwsza ofiarowana suma 9200 lirów była dla prał. Novarese znakiem Opatrzności, iż taką budowę należy zacząć. I tak rozpoczęła się wielka przygoda z konstruowaniem domu „Niepokalanego Serca Maryi” w Re, przy sanktuarium Madonna del Sangue, który okazał się inwestycją konieczną dla rozwoju apostolatu i działalności rekolekcyjnej. Rekolekcje te były skierowane do wielu różnych grup – dzieci, młodzieży, chorych psychicznie, upośledzonych umysłowo, niepełnosprawnych.

Apostolska i duszpasterska potrzeba pomagania osobom chorym w znalezieniu sensu ich cierpienia sprawiła, że marzeniem prał. Novarese stało się wybudowanie podobnych ośrodków w całej Italii, a także i poza jej granicami.

Uważny na ducha czasu, Novarese promował i organizował wiele kongresów i spotkań poruszających problematykę cierpienia – na poziomie narodowym i międzynarodowym. Stałym takim spotka-



niem był kongres kapłanów w Lourdes organizowany przez Maryjną Ligę Kapłanów. Poruszane tam tematy, sposób podejścia do problemu cierpienia i kondycji człowieka cierpiącego były w tamtych czasach nowością. Spotkania te były też okazją do dzielenia się wzajemnymi doświadczeniami, konfrontacji różnych stanowisk, wizji.

Postulat integralnego rozwoju osoby chorej i niepełnosprawnej stanowił dla prał. Novarese podstawową motywację wszelkich działań. To na tym gruncie rosły przeróżne inicjatywy – pomocy rodzinom mającym w swoim gronie niepełnosprawnych, pomocy w rozwoju talentów i umiejętności osób chorych. W tym celu została więc otwarta w Re pracownia krawiecko-dziewiąrska. Uroczyste otwarcie odbyło się w roku 1954 i tym samym zapoczątkowało działalność socjosanitarną, która sukcesywnie była przez prałata rozwijana.

Spośród założonych przez niego dwudziestu domów, szczególnie wyróżniały się te, które oferowały wieloraką możliwość kształcenia specjalizacji zawodowych, stanowiły ośrodki rehabilitacyjne, stojące na wysokim poziomie technicznym, sanitarnym i edukacyjnym. Niektóre z nich prowadziły też pracownie artystyczne. Domy te dawały też możliwość szkolenia wolontariuszy, rozwijały wrażliwość na drugiego człowieka. Jednym z takich właśnie ośrodków jest głogowski Dom „Uzdrowienie Chorych” im. Jana Pawła II.



Mamy trzech diakonów!

Cisi Pracownicy Krzyża

11 października 2020 roku, o godz. 11.00 z rąk bpa Sergio Melillo trzech nasi współbracia: Wojciech Grzegorek, Apollinaire i Norbert przyjęli święcenia diakonatu w Katedrze Wniebowzięcia NMP w Ariano Irpino, w diecezji Ariano Irpino – Lacedonia. Dzięki transmisji online mieliśmy możliwość uczestniczenia w tym ważnym wydarzeniu dla naszego Stowarzyszenia.

W Mszy Świętej uczestniczyli najbliżsi naszych współbraci, przyjaciele oraz wspólnota Cichych Pracowników Krzyża. Wśród obecnych nie mogło zabraknąć rodziców i rodzeństwa brata Wojtka.

Piękna, a jednocześnie skromna uroczystość, przepełniona ważnymi znakami, pomagała jeszcze bardziej skupić się na wymiarze duchowym i tym, co to oznacza dla nowo wyświęconych diakonów.

„Przyjmij Chrystusową Ewangelię, której głosi- cielem się stałeś; wierz w to, co będziesz czytać, nau- czaj tego, w co uwierzysz, i pełnij to, czego będziesz nauczać”.

Niech te słowa z „Obrzędów święceń diakonatu” staną się dla każdego z Was osobistym „Credo” dnia codziennego w posłudze diakona – służbi Ewangelii Chrystusowej, służbi Ołtarza Pańskiego oraz w służbie drugiemu człowiekowi, zwłaszcza temu, który swoje osobiste cierpienie, krzyż choroby i niepełnosprawności oddaje w darze Bogu dla zbawienia drugiego człowieka.

Niech świadectwo życia – w wymiarze ludzkim i kapłańskim – które pozostawił Wam śp. ksiądz Janusz, będzie dla Was wzorem na drodze do kapłaństwa Chrystusa.

Wszyscy jesteśmy BRAĆMI

Papież Franciszek

WSTĘP

1. „Fratelli tutti”, napisał św. Franciszek z Asyżu, zwracając się do wszystkich braci i sióstr i proponując im formę życia mającą posmak Ewangelii. Wśród jego rad chcę podkreślić jedną, w której zachęca do miłości wykraczającej poza granice geografii i przestrzeni. W niej nazywa błogosławionym tego, który tak kocha „swego brata będącego daleko od niego, jak gdyby był z nim”. W tych kilku prostych słowach wyjaśnił istotę otwartego braterstwa, które pozwala rozpoznać, docenić i miłować każdą osobę niezależnie od bliskości fizycznej, niezależnie od miejsca na świecie, w którym się urodziła lub w którym mieszka.

2. Ten Święty, znany z miłości braterskiej, prostoty i radości, który zainspirował mnie do napisania encykliki *Laudato si'*, ponownie motywuje mnie do poświęcenia tej nowej encykliki braterstwu i przyjaźni społecznej. Św. Franciszek, który czuł się bratem słońca, morza i wiatru, wiedział, że jest jeszcze bardziej zjednoczony z tymi, którzy tak samo żyją w ciele jak on. Wszędzie rozsiewał pokój i podążał u boku ubogich, opuszczonych, chorych, odrzuconych, ostatnich.

BEZ GRANIC

3. Jest taki epizod w jego życiu, który ukazuje nam jego serce bez granic, zdolne do wyjścia poza dys-

tanse wynikające z pochodzenia, narodowości, koloru skóry czy religii. To jego wizyta u sułtana Malik-al-Kamila w Egipcie, wizyta, która wymagała od niego wielkiego wysiłku ze względu na jego ubóstwo, niewielkie środki, jakimi dysponował, ze względu na oddalenie i na różnice językowe, kulturowe i religijne. Taka podróż, w tamtym historycznym momencie, naznaczonym wyprawami krzyżowymi, ukazała jeszcze bardziej wielkość miłości, którą chciał żyć, pragnąc objąć wszystkich. Wierność swemu Panu była proporcjonalna do jego miłości wobec braci i sióstr. Nie lekceważąc trudności i niebezpieczeństw, św. Franciszek poszedł na spotkanie z sułtanem z taką samą postawą, jakiej wymagał od swoich uczniów: aby, nie negując własnej tożsamości, „pośród sara-cenów i innych niewiernych [...] nie wdawać się w kłótnie ani w spory, lecz być poddanymi wszelkiemu ludzkiemu stworzeniu ze względu na Boga”. W tamtym kontekście było to żądanie niezwykle. Uderza nas, jak osiemset lat temu Franciszek zalecał, by unikać wszelkich form agresji czy sporów, a także by żyć pokornie i po bratersku „w poddaniu”, także wobec tych, którzy nie podzielają ich wiary.

4. Nie prowadził wojny dyalektycznej, narzucając doktryny, ale przekazywał miłość Boga. Zrozumiał, że „Bóg jest miłością: kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim” (1 J 4, 16). W ten sposób był płodnym ojcem, który wzbudził marzenie

Najnowsza Encyklika Papieża Franciszka *Fratelli Tutti* – O braterstwie i przyjaźni społecznej

FUNDAMENTY

o braterskim społeczeństwie, ponieważ „tylko ten, kto godzi się zbliżyć do innych osób w ich własnym ruchu, nie po to, by utrzymać je w swoim, ale by pomóc im być bardziej sobą, naprawdę staje się ojcem”. W tamtym świecie pełnym wież strażniczych i murów obronnych, miasta przeżywały krwawe wojny między potężnymi rodami, podczas gdy rozszerzały się ubogie rejony wykluczonych przedmieść. Tam Franciszek otrzymał w swym wnętrzu prawdziwy pokój, uwolnił się od wszelkich pragnień panowania nad innymi, stał się jednym z ostatnich i starał się żyć w harmonii ze wszystkimi. To jemu zawdzięczamy inspirację do napisania tych stron.

5. Zagadnienia związane z braterstwem i przyjaźnią społeczną zawsze należały do moich trosk. W ciągu ostatnich kilku lat nawiązywałem do nich wielokrotnie i w różnych miejscach. W tej encyklice pragnę zebrać wiele z tych wypowiedzi, umieszczając je w szerszym kontekście refleksji. Ponadto, o ile przy redakcji *Laudato si'* inspiracją był dla mnie mój brat Bartłomiej, Patriarcha Prawosławny, który z wielką siłą postulował troskę o rzeczywistość stworzoną, to w tym przypadku czułem się w sposób szczególny zachęcony przez Wielkiego Imama Ahmada Al-Tayyeba, którego spotkałem w Abu Zabi, aby przypomnieć, że Bóg „stworzył wszystkich ludzi równymi w prawach, obowiązkach i godności, i powołał ich, aby żyli razem jako bracia i siostry”. Nie był to jedynie akt dyplomatyczny, lecz refleksja dokonana w dialogu i wspólnym zaangażowaniu. Niniejsza encyklika podejmuje i rozwija wielkie tematy poruszone w tym dokumencie, który wspólnie podpisaliśmy. Włączyłem w nią także, w moim własnym języku, liczne listy i dokumenty, które otrzymałem od wielu osób i grup z całego świata.

6. Następane strony nie mają na celu podsumowania nauki o miłości braterskiej, lecz skupiają się na wymiarze uniwersalnym tej miłości i jej otwartości

na wszystkich. Przekazuję tę encyklikę społeczną jako skromny wkład w refleksję, abyśmy w obliczu różnorodnych i aktualnych sposobów eliminowania lub lekceważenia innych, potrafili odpowiedzieć nowym marzeniem o braterstwie i przyjaźni społecznej, które nie ograniczają się jedynie do słów. Chociaż napisałem ją, wychodząc od moich przekonań chrześcijańskich, które mnie ożywiają i karmią, starałem się to uczynić w taki sposób, aby ta refleksja była otwarta na dialog ze wszystkimi ludźmi dobrej woli.

7. Właśnie, kiedy pisałem tę encyklikę, wybuchła niespodziewanie pandemia Covid-19, ujawniając nasze złudne zabezpieczenia. Niezależnie od różnic w sposobie, w jaki poszczególne kraje odpowiedziały na tę sytuację, ujawniła się wyraźnie niezdolność do wspólnego działania. Pomimo że jesteśmy hiper-połączeni, ujawniło się rozbieżności, które utrudniało rozwiązywanie problemów dotyczących nas wszystkich. Jeśli ktoś uważa, że należało jedynie usprawnić to, co już czyniliśmy, lub że jedynym przestaniem jest to, że musimy udoskonalić istniejące już systemy i reguły, zaprzecza rzeczywistości.

8. Bardzo pragnę, abyśmy w tym czasie, w którym przyszło nam żyć, uznając godność każdej osoby ludzkiej, byli w stanie na nowo ożywić wśród wszystkich światowe pragnienie braterstwa. Wśród wszystkich: „Oto piękna tajemnica, aby marzyć i uczynić nasze życie piękną przygodą. Nikt nie może stawić czoła życiu w sposób odosobniony. [...] Potrzebujemy wspólnoty, ażeby nas wspierała, pomogła nam, takiej, w której pomagamy sobie nawzajem patrzeć w przyszłość!”. Snujmy marzenia jako jedna ludzkość, jako wędrowcy stworzeni z tego samego ludzkiego ciała, jako dzieci tej samej ziemi, która wszystkich nas gości, każdego z bogactwem jego wiary czy jego przekonań, każdego z jego własnym głosem, wszystkich jako braci!





Ks. JANUSZ – Cichy Pracownik Krzyża

Cisi Pracownicy Krzyża

„Nazywam się Janusz Malski, urodziłem się w Szczecinie 25.06.1957 r., w rodzinie robotniczej...”. Tak zaczyna się życiorys, który sięga czasów seminaryjnych ks. Janusza Malskiego przeżytych w Polsce, poczynając od 1978 r., w Wyższym Seminarium Duchownym Metropolii Szczecińsko-Kamieńskiej w Gościkowie-Paradyżu. W dalszej części ks. Janusz pisze o kilku swoich parafialnych zadaniach, np.: „Aktywnie uczestniczę w życiu wspólnot młodzieżowych parafii św. Krzyża w Szczecinie”.

„Krzyż” i „pracownicy” od samego początku były obecne w egzystencjalnym słowniku ks. Janusza. Pozostaną tam na zawsze, aż po kres jego ziemskiej obecności.

Założycielowi Cichych Pracowników Krzyża, ks. Luigiemu Novarese zostaje przedstawiony przez biskupa szczecińsko-kamieńskiego, ks. bpa Kazimierza Jana Majdańskiego. Od 1983 roku ks. Janusz staje się członkiem Stowarzyszenia.

Biskup dostrzegł w Januszu Malskim szczególną troskę o chorych, wrażliwość na potrzeby osób cierpiących. Towarzyszył mu na drodze powołaniowej, na drodze wzrostu i dojrzewania do stania się Cichym Pracownikiem Krzyża.

W istocie Stowarzyszenie odpowiedziało na aspiracje kandydata zarówno na polu działania apostołskiego wśród cierpiących, jak i na jego wyraźną duchowość maryjną.

W liście do bł. Novarese, w roku swojej konsekracji wśród Cichych Pracowników Krzyża, ks. Janusz pisał: „Niepokalana spojrzała na mnie z wielką życzliwością i jestem bardzo wdzięczny Jej Niepokalanemu Sercu, że wzbudziło we mnie pragnienie całkowitego oddania się Niepokalanej. Moją wolą jest spełnianie i urzeczywistnianie Jej prośb, wyrażonych w Lourdes i Fatimie, wraz z Jej potężną i miłosierną obecnością, która towarzyszy mojemu narodowi od sześciu wieków na Jasnej Górze” (list do ks. Novarese. Montichiari 29.06.1983 r.).

Janusz Malski kończy studia w Seminarium Duchownym w Brescii. Lubiany i ceniony przez towarzyszy na drodze seminaryjnej. Braterska więź, jak i przyjaźń z wieloma z nich pozostaje żywa na lata. Relacje z drugim człowiekiem były tymi, które ks. Janusz umiał tkąć i dbać o nie, pamiętać o nich i pielęgnować je.

Święcenia kapłańskie przyjął 7 lipca 1985 r. z rąk Jego Eminencji Kardynała Edouarda Gagnona w Montichiari, w katedrze Santa Maria Assunta in Cielo. W ten sposób świętuje nowy początek na swojej drodze konsekracji. Ścieżka wytyczona w rodzimej diecezji staje się drogą, która się rozszerza, rysuje place, gdzie można się spotkać, towarzyszyć, doświadczać daru z siebie.

W następnym roku zostaje formatorem osób w nowicjacie, w Rocca Priora (RM), gdzie pozostanie przez jedenaście lat. To czas intensywny i pracowity, bo taki właśnie był Ks. Janusz; zawsze aktywny i działający na kilku polach. Oprócz kontynuowania formacji innych, kontynuuje własną i uzyskuje licencjat z Duszpasterstwa Służby Zdrowia w Instytucie Teologicznym Camillianum w Rzymie.

Nie zapominając o każdym możliwym wkładzie w szerzenie apostołatu Cichych Pracowników Krzyża w ich rodzinnej ziemi, ks. Janusz organizuje spółdzielnię rolniczą w Rocca Priora, integrując osoby niepełnosprawne jako współpracowników. Ks. Janusz wie, jak uważnie badać przestrzeń i czasy, które mogą sprzyjać wzrostowi godności i promocji osoby.

W 1997 roku całkowicie poświęcił się budowie i otwarciu Domu „Uzdrowienie Chorych – św. Jana Pawła II” w Głogowie (Polska). Jest to budynek, który

w pewien sposób go reprezentuje. Wielki, zdolny do objęcia wielorakich kierunków i dotyczących wielu płaszczyzn: duchowość i wspólne mieszkanie w ramach turnusu, w celach rehabilitacji ciała i ducha, zajęcia terapeutyczne, konferencje, zjazdy, wspieranie działalności parafialnej przyległej Kolegiaty Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

W 2012 roku po raz pierwszy zostaje wybrany na stanowisko Moderatorsa Generalnego Cichych Pracowników Krzyża (od 2012 do 2018 roku), po tej kadencji wspólnota ponownie powierza mu tę rolę.

Ks. Janusz nie jest Moderatorem, który siedzi za biurkiem.

Wykonując swoje zadania, nie traci z oczu wymiarów, które wcześniej napotkał i wypracował. Podróżuje, spotyka się, daje wskazówki i nadzieję. Ostrożny, a jednocześnie przywiązany do tradycji, stawiający samemu sobie pytania.

Jego droga osiągnęła pełnię wieczności, przypominając nam o tym, że „Dzieło Krzyża” jest całkowitym darem z siebie, impulsem miłości, który prowadzi nas poza śmierć. To trudny odcinek do przebycia, kładący kres naszej egzystencji, ale objawiający ostateczne narodziny, wieczną Paschę.



To było jak grom z jasnego nieba

Cisi Pracownicy Krzyża

To było jak grom z jasnego nieba. Tego typu wiadomości mrozą krew w żyłach, nieoczekiwana wiadomość, bolesna, trudna do opanowania emocjonalnie.



Jako chrześcijanie musimy zaakceptować fakt, że śmierć – tak samo jak ból – reprezentuje nieuniknioną rzeczywistość, od której nie możemy uciec, ale jako istoty ludzkie nie możemy się powstrzymać od tego, co ludzkie i ciężko nam zrozumieć ją w całym jej znaczeniu. Tak jak Jezus w straszliwej nocy w Ogrodzie Oliwnym, gdzie jego człowieczeństwo zostało skonfrontowane z ogromnym bólem i cierpieniem.

Ks. Janusz był miłośnikiem Boga, wiernym wyznawcą charyzmatu bł. Luigiego Novarese, czującym się w pełni jego duchowym synem. Przede wszystkim, krok po kroku, podążał drogą z tymi, którzy chcieli stać się częścią rodziny Cichych Pracowników Krzyża, entuzjastycznie podchodził do każdego nowego powołania i dawał każdemu siłę, by iść naprzód pomimo obiektywnych trudności, jakie stwarza każda duchowa droga.

Nigdy nie narzekał na swoje dolegliwości, wręcz przeciwnie, zaszczepiał odwagę tym, którzy rozmawiali z nim o swoich chorobach i dolegliwościach.

Jednym z jego najczęstszych zwrotów było: „z wielką radością”, ciągłe dzielenie się również swoim entuzjazmem, który wynikał z jego artykułów redakcyjnych w czasopiśmie Kotwica, wraz z napomnieniami koniecznymi, aby być prawdziwymi Ochotnikami Cierpienia i jego prośbami modlitewnymi za całym Stowarzyszeniem i działalnością apostolską.

Kiedy takie wydarzenia mają miejsce, nasza wiara stanowi dla nas wyzwanie i stawia nas przed naszymi naturalnymi ograniczeniami. To od nas zależy, czy utrzymamy naszą barkę prosto i unikniemy dryfowania w morzu zamieszania i niepokoju. Jezus powiedział jasno: śmierć nie oznacza pożegnania na zawsze, ale jest to pożegnanie na jakiś czas i tutaj nasza wiara musi wykazać całą swoją solidność.

„Kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na zawsze. Wierzysz w to?” (J 11, 26). Oto podstawowe pytanie, kiedy dosięga nas ból utraty ukochanej osoby. Czy naprawdę wierzymy, że nie umrzemy na zawsze?

Przeczytajmy ponownie i rozważmy rozdział 11 Jana, niech te słowa przenikną prosto do naszych serc.

W ten sposób naprawdę będziemy mogli powiedzieć: **DO ZOBACZENIA KSIĘŻE JANUSZU** – z przekonaniem i niezachwianą wiarą, choć okraszona naturalnym i ludzkim smutkiem.

Do zobaczenia Księżu Januszu... tymczasem módl się za nas stamtąd z góry, czuwał jak zawsze nad nowymi powołaniami, pomóż nam ożywić nasze apostołstwo, aby każdy cierpiący mógł ufać Bogu, któremu towarzyszy światło pewnej nadziei.

Źródło: <https://www.luiginovarese.org>



Ostatnia podróż – Montichiari

Cisi Pracownicy Krzyża

8 października 2020 roku nadszedł czas pożegnania ziemskiego z ks. Januszem Malskim, który trzy dni wcześniej odszedł do Domu Ojca – 5.10.2020 r. Te ostatnie dni, przepełnione smutkiem, żalem, były też dniami, w których z naszych ust i serc nie wychodziło inne słowo w kierunku Pana Boga i ks. Janusza jak: **DZIĘKUJĘ.**

Wiele świadectw, które mogliśmy przeczytać dzięki Waszym komentarzom w mediach społecznościowych, które wysyłałicie do nas mailem czy wiadomościami sms, poruszyły nasze serca i właśnie dzięki tym Waszym słowom utwierdziliśmy się w tym, że odszedł Wielki Człowiek, który był dla każdego ważną osobą i który potrafił pochylić się nad każdym cierpieniem i dodać każdemu nadziei.

Już parę minut po godzinie 14.00 w Katedrze Wniebowzięcia NMP rozpoczął się różaniec za duszę śp. Księdza Janusza. Jedną dziesiątkę różańca w języku polskim odmówił brat Wojciech Grzegorek – Cichy Pracownik Krzyża, który 11.10.2020 roku otrzymał święcenia diakonatu, we Włoszech.

Wśród licznie zgromadzonych w świątyni księży były osoby z Polski: kapłani, członkowie głogowskiej wspólnoty Cichych Pracowników Krzyża: s. Iwona Goździewska i Anna Wiśniewska, która mieszka w naszym Domu, jak i przyjaciele ks. Janusza, którzy reprezentowali każdego z nas na uroczystościach pogrzebowych. Ich obecność była naszą obecnością, a także wsparciem dla s. Małgosi. Obecni byli również Cisi Pracownicy Krzyża z Włoch, gdyż dla nas był to nie tylko współbrat, ale i Moderator Gene-

ralny. W pogrzebie uczestniczyły również delegacje z włoskiego CVS.

Wszystko było transmitowane online, dlatego wielu z nas mogło uczestniczyć w Mszy Świętej i w ostatnim pożegnaniu śp. ks. Janusza. Eucharystii przewodniczył Biskup diecezji Brescia, Bp Pierantonio Tremolada. Dzięki odczytanej przez Ks. Radosława Horbatowskiego Ewangelii, mogliśmy głębiej uczestniczyć w Mszy św.

Bp. Pierantonio rozpoczął swoją homilię od cytatu z pierwszego czytania, z Listu Św. Pawła do Galatów: „O, nierozumni Galaci! Któż was urzekł, was, przed których oczami nakreślono obraz Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego?”. Zaprosił do rozważenia tego fragmentu w świetle okoliczności, których aktualnie doświadczamy, czyli pożegnania ks. Janusza.

„Jest też w tym czytaniu inna perspektywa, a mianowicie ta, która ukazuje, jak ważny w naszym życiu jest Duch Święty, nasza otwartość na działanie Ducha Świętego, byśmy potrafili wejść w wielką tajemnicę, jaką jest Jezus Chrystus Ukrzyżowany, abyśmy potrafili stanąć naprzeciw Ukrzyżowanego i kontemplować to misterium. Pamiętajmy o tym, że aby wejść w tajemnicę, trzeba pozos-

tawić miejsce na działanie Ducha Świętego w naszym życiu, bo sami z siebie nigdy nie wejdziemy i nie zrozumimy tajemnicy Krzyża Chrystusowego. Krzyż Chrystusa jest skandalem dla świata. Często ludzie szukają inteligencji, mądrości, wielkości, a Krzyż Chrystusa to słabość, ból, cierpienie. W oczach świata to upokorzenie, jakaś przegrana, upadek. Tego, co jest słabe i kruche, świat nie kocha. Świat kocha to, co jest silne, mocne, bogactwo, sukces, władzę. Dla świata wpatrywanie się w Krzyż jest tak jakby spektaklem, który kończy się pokonaniem, upokorzeniem. Jeśli nie potrafimy zrozumieć autentycznego sensu tego, co widzimy, zostajemy odepchnię-

ci. Serce wtedy mówi: „nie, to wszystko nie może mi się przydarzyć”. Jednak to właśnie tak wygląda droga, którą powinniśmy pójść.

Potrzebujemy Ducha Świętego, który oczyści nasze serca i otworzy je na przyjęcie tajemnicy Krzyża. To wszystko się stanie, jeśli będziemy potrafili przyjąć tajemnicę Krzyża i będziemy na nią otwarci. Potrzeba czasu, byśmy się stali nowymi stworzeniami. Potrzeba czasu, byśmy zostali oczyszczeni ze światowości i na to, by dać nam nową myśl, nowy sposób weryfikacji a przede wszystkim zjednoczyć nas z sentymentami, uczuciami Jezusa Chrystusa. To wszystko czyni Duch Święty. To wszystko





doprowadziło nas do Ewangelii, gdzie słyszeliśmy, że Jezus mówi o darze Ducha Świętego jako najcenniejszym darze dla całej ludzkości. Kto przyjmie dar Ducha Świętego, będzie otwarty na przyjęcie tajemnicy Krzyża Chrystusowego”.

Następnie Bp. Pierantonio powiedział: „Nie miałem tego zaszczytu, by bliżej poznać ks. Janusza. Mieliśmy okazję spotkać się z nim kilka razy i wrażenia, jakie odniosłem po tych spotkaniach, były właśnie takie: To był człowiek uduchowiony. Człowiek otwarty na działanie Ducha Świętego. Widać to było po jego sposobie bycia, po tym, jak działał. To pozwoliło mu na wejście w tajemnicę Krzyża, żyjąc w pełni charyzmatem bł. Luigiego Novarese. Cichy Pracownik Krzyża... Kiedy wchodzimy w tajemnicę Krzyża, stajemy się pracownikami, a nie pracodawcami, tymi,

k którzy służą, a nie biorą na własność i cichymi, a nie tymi, którzy pragną chwały, uznania. Cisi, tak jak czas, w którym dojrzewa owoc, jak słowo, które dotyka dogłębnie Twoją duszę w cichości Twojego wnętrza. To właśnie w tym charyzmacie ks. Janusz oddał całego siebie. Jesteśmy tutaj, by dziękować Bogu za piękne świadectwo życia ks. Janusza.

Chciałbym jeszcze dodać, że tego wszystkiego Ks. Janusz doświadczył również osobiście, poprzez chorobę. Nie tylko troszczył się o innych cierpiących, ale sam stał się cierpiącym. W logice, o której była mowa wcześniej, ks. Janusz najpierw był Cichym Pracownikiem, a później on sam wszedł w tajemnicę Krzyża, na drugi sposób: choroby. Choroby, której doświadczał od dłuższego czasu. Jakiś czas wydawało się, że choroba została pokonana, ale powróciła, aby w bar-

dzo krótkim czasie wezwać go i zakończyć jego ziemskie życie. Także sposób, w jaki przeżył swoją chorobę, potwierdza ukazaną tu perspektywę.

Wy, zgromadzeni tutaj, żyliście z nim, poznaliście go lepiej i wierzę w to, że możecie potwierdzić to, co powiedziałem. To drogocenne świadectwo, za które jesteśmy wdzięczni Panu Bogu. Ten czas staje się dla nas zaproszeniem do tego, by zadać sobie pytanie: a Ty w jakim punkcie jesteś tej drogi? Jak bardzo otwierasz się na działanie Ducha Świętego, by wejść w tajemnicę Krzyża?

Jest to dar, o który pragnę prosić dla mnie, ale też dla każdego z Was. Pragnę też powiedzieć, w imieniu Kościoła, że Cisi Pracownicy Krzyża, cały charyzmat bł. Luigiego Novarese jest cennym darem dla Kościoła, który przyniósł wiele owoców i nadal przynosi.

Błogosławiony jesteś, Boże, za cenne świadectwo życia ks. Janusza... Kto żyje dla Pana, umiera dla Pana i teraz już Ksiądz Janusz wie, co znaczy być



w Panu, wie, co znaczy widzieć, kontemplować tę tajemnicę, która się wydarzyła w naszej historii przez Krzyż Chrystusa aż po Zmartwychwstanie. My dziś modlimy się za niego, a ja jestem pewny, że on teraz modli się za każdego z nas i wstawia się za nami”.

Ubogaceni zarówno Słowem Bożym, jak i homilią biskupa Pierantonio, uczestniczyliśmy w dalszej części Eucharystii. Przed błogosławieństwem koń-



cowym do zgromadzonych wiernych i tych uczestniczących poprzez transmisję internetową, a w sposób szczególny też do śp. Ks. Janusza, zwrócił się ks. Marco Castellazzi, który będąc zastępcą ks. Janusza, po jego odejściu do Pana, tymczasowo przejął funkcję Moderатора Generalnego:

„Pragnę w imieniu całego Stowarzyszenia Cichych Pracowników Krzyża oraz w imieniu s. Małgorzaty – siostry rodzonej Ks. Janusza, podziękować każdemu z Was, którzy uczestniczyliście w tej Eucharystii za śp. ks. Janusza.

Dziękuję również wszystkim, którzy przyłączyli się do modlitwy poprzez internet. Wszystkim, którzy byli i są obecni poprzez swoje słowa wsparcia. Dziękuję biskupowi diecezji Brescia, który przewodniczył tej Mszy św., wszystkim kardynałom i biskupom, którzy włączyli się w modlitwę, przesyłając kondolencje. Dziękuję panu Giancarlo Cerutti, dziękuję opatowi Montichiari, ks. Cesare, który przyjął

nas w katedrze, a w której ks. Janusz otrzymał święcenia kapłańskie.

Uśmiecham się w duchu, bo przypominam sobie jak z ks. Januszem, właśnie tutaj, na tym dywanie leżeliśmy twarzą do ziemi w czasie święceń kapłańskich i prosiliśmy o dar Ducha Świętego. Leżąc twarzą do ziemi, w pewien sposób mówimy Bogu, że należymy w całości do Niego. Natomiast w dniu pogrzebu, na tym samym dywanie, jesteśmy położeni odwrotnie, z twarzą skierowaną do góry, by powiedzieć Bogu: „Panie, zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić. Teraz idę do Ciebie”.

Chciałbym objąć wszystkich, nikogo nie wykluczając i każdemu z Was powiedzieć: **DZIĘKUJĘ**.

Pozwolę sobie na odczytanie przesłanej wiadomości od biskupa Ariano Irpino-Lacedonia, diecezji, do której inkardynowany był ks. Janusz – Cichy Pracownik Krzyża:

„Łączę się w modlitwie do Pana z kapłanami i całym ludem Bożym diecezji Ariano-Lacedonia, aby towa-



rzyszyć pobożnemu przejściu do Pana ks. Janusza Małskiego. Jestem blisko Cichych Pracowników Krzyża w próbie, której doświadczają z powodu odejścia Moderатора Generalnego. Niech Maryja Dziewica, która w Sanktuarium w Valletu strzeże pamięci i świeżości charyzmatu bł. Luigiiego Novarese, towarzyszy każdemu z nas, a zwłaszcza Cichym Pracownikom Krzyża na drodze życia. Serdecznie Was błogosławię. *Bp. Sergio, diecezja Ariano Irpino – Lacedonia*”.

Dalej ks. Marco mówi: „Pragnę podziękować ks. Januszowi za to, co było. Ks. Janusz to kapłan i człowiek z wielką zdolnością do przyjmowania, gościnności, uśmiechania się i doceniania każdej pięknej rzeczy, w której widział obecność Stwórcy.

Potrafił całkowicie oddać swoje kapłańskie życie w ręce Niepokalanej. Miał głęboką więź z naszymi Założycielami i pozostawionym przez nich charyzmatem. Wraz z ks. Novarese był złączony więzią synostwa duchowego, szukając głębi jego nauczania i jego słów. Z tego nauczania wypływa jego wierność Papieżowi i Kościołowi. Ks. Janusz, mając więź z Chrystusem płynącą z Jego Miłosiernego Serca, nauczył się Miłosierdzia.

Kapłan miłosierny, nigdy nie miał pretensji i zdolny był do tkania więzi tam, gdzie były czasami tylko pęknięcia. Cierpliwy i ofiarujący, w swojej chorobie walczył do końca. Ks. Janusz był uważnym i obecnym Moderatorem Stowarzyszenia.

W obliczu jakiegokolwiek decyzji powtarzał prawie bez przerwy jedno słowo: **Zobaczmy!** Przyznaję, że to słowo trochę mnie irytowało, bo z pozoru sprawiało wrażenie, że nie chce podejmować decyzji, które moim zdaniem były pilne i konieczne, ale teraz, patrząc wstecz na to słowo, rozumiem, jak było roztropne i konieczne, aby poświęcić czas najpierw na refleksję i modlitwę, by później rozwiązać dane problemy, trudne sytuacje i wyjść naprzeciw potrzebom. „Zobaczmy”, nie oznaczało: „Zostaw. Daj spokój”, ale były słowami: „Później podejmiemy do tego na poważnie”.

Janusz. Chciałbym powiedzieć Ci wiele rzeczy i zapytać o tak wiele, ale głęboko wierzę, że jedynym



słowem, które może wyrazić w tej chwili to wszystko, co czuję, to moje **DZIĘKUJĘ**.

A teraz żegnając się z Tobą, proszę, byś razem z bł. Novarese i naszą siostrą Elwirą, wszystkimi braćmi kapłanami, drugim Moderatorem, który jest już w Niebie – ks. Antonio, braćmi i siostrami, którzy poprzedzili nas w spotkaniu z Ojcem, proszę, abyście czuwalili nad całym Stowarzyszeniem i wypraszaali dla nas dar jedności, byśmy byli wiernymi naśladowcami pozostawionego nam charyzmatu.

Jeszcze, tak trochę egoistycznie, chciałbym prosić Was wszystkich zebranych tutaj, ale też uczestniczących przez transmisję online, o modlitwę za mnie, gdyż otrzymuję od ks. Janusza zadanie zastąpienia go jako Moderатора Generalnego Stowarzyszenia. Mandat tymczasowy, ale proszę Was o modlitwę. Dziękuję wszystkim”.

Po wzruszających słowach ks. Marco, również ks. Rafał Zendran zabrał głos, jako przyjaciel Ks. Janusza, ale też jako Proboszcz Parafii Kolegiackiej w Głogowie, przy której działa Dom Cichych Pracowników Krzyża. Podzielił się swoim doświadczeniem życia w bliskości ks. Janusza.

Przed końcem Mszy Św. odbyły się tradycyjne modlitwy nad ciałem ks. Janusza, aby po błogosławieństwie końcowym móc odprowadzić zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku. Ks. Janusz został pochowany na cmentarzu w Montichiari, w kwaterze Cichych Pracowników Krzyża.

W tej trudnej dla nas wszystkich sytuacji nie możemy zapomnieć o tym, co najważniejsze. Wszyscy spotkamy się w niebie, a dziś powtarzając słowa Hioba, błogosławmy Bogu, za całe życie ks. Janusza: „**Dał Pan i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!**” Hi 1, 21.



Uroczyste pożegnanie w kolegiacie

Lucyna Żółkiewska

„Dziękuję bardzo za waszą bliskość... Niech te modlitwy spłyną na tych, których nikt nie pamięta i się nie modli”. Te słowa ksiądz Janusz Malski skierował 30 września do modlących się za niego. Była to wiadomość głosowa nagrana z wielkim trudem, rwącym się głosem. 5 października, we wspomnienie Św. Faustyny Kowalskiej, dowiedzieliśmy się o jego śmierci.

Ksiądz Janusz zmarł we Włoszech i tam też został pochowany. W ostatnich dniach życia ziemskiego towarzyszyły mu nasze modlitwy i siostra Małgorzata SODC, a zarazem siostra z pokrewieństwa.

Dla wszystkich z rodziny novarezjańskiej był to trudny czas. Nie mogliśmy być tam razem z nimi, by okazać wsparcie i nie mogliśmy uczestniczyć w pogrzebie. Tylko nieliczne osoby pojechały do Montichiari. Dzięki przekazowi internetowemu mogliśmy jednak przeżyć razem z nimi mszę pogrzebową i duchowo czuwaliśmy przy trumnie ks. Janusza. Ciało Moderatora Generalnego 8 października spo-



DOM

Foto Adam Stelmach

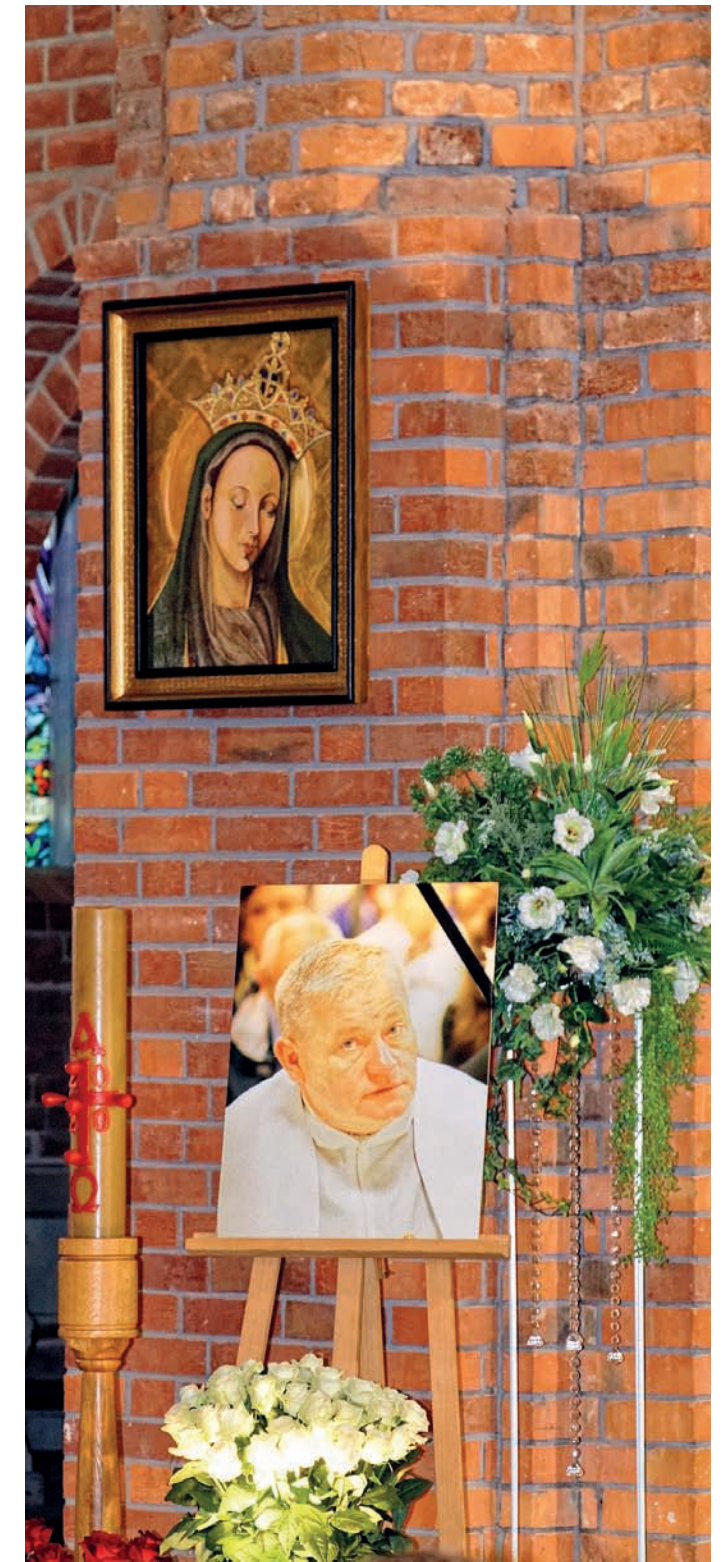
częło w kwaterze Cichych Pracowników Krzyża w Montichiari. W Polsce wszyscy, którzy mogli przybyć w niedzielę 11 października, oddali hołd księdzu Januszowi w glogowskiej kolegiacie na uroczystej Mszy św. w jego intencji. O uroczystym charakterze mszy świadczyła obecność biskupów oraz liczba przybyłych księży, także spoza diecezji zielonogórsko-gorzowskiej.

Mszy Świętej przewodniczył bp Stefan Regmunt w koncelebrze z bpem Krzysztofem Zadarką z diecezji koszalińskiej. Przed rozpoczęciem mszy członkowie Centrum Ochootników Cierpienia złożyli pod portretem Ks. Janusza bukiet białych róż i zapalili znicz, a dziękując Bogu za dar jego życia i posługi, odmówili różaniec – część chwalebna. Następnie został wprowadzony sztandar Ochootników Cierpienia. Poczet sztandarowy składał się z przewodniczących CVS Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej, którzy pełnili te funkcje od momentu powstania stowarzyszenia aż do dnia dzisiejszego.

Księdza Janusza wspominali kapłani: ks. bp Krzysztof Zadarko (kolega z seminarium i brat w kapłaństwie), ks. kanonik Rafał Zendran (proboszcz kolegiaty glogowskiej) i ks. kanonik Stanisław Brasse (dziekan). Wszyscy mówili o wielkim, otwartym sercu księdza Janusza, choć przedstawiali różne fakty i okoliczności z jego życia. To, co mówili o księdzu Januszu, było bardzo spójne z tym, jak i ja go zapamiętam.

Zapamiętam go przede wszystkim jako ciepłego kapłana, otwartego na drugiego człowieka, który całym sercem oddany był nie tylko apostołowi, ale i Domowi Uzdrawienia Chorych. Troszczył się o całe otoczenie, o pracowników, troszczył się także o więźniów, którzy tutaj mieli wolontariat. Miał czas na to, by oprócz posługi duszpasterskiej spotkać się i porozmawiać z uczestnikami turnusów rehabilitacyjnych. Był bardzo oddany wszystkim dzieciom, które tworzyli Cisi. Nie szczędził zdrowia i sił dla wsparcia misji i wykształcenia nowych pokoleń braci kapłanów SODC.

Ja osobiście doświadczyłam jego otwartości i serdeczności, kiedy pojechałam do Rzymu, na walne zgromadzenie CVS. Wtedy byłam po lekkim uda-





rze i miałam problemy z dłuższym chodzeniem. Bardzo chciałam zobaczyć Rzym, chociażby jego panoramę. Miałam pragnienie, by wjechać na taras widokowy na kopule Bazyliki Świętego Piotra i spojrzeć na Rzym z lotu ptaka. Nasi delegaci nie podzielali tego mojego pragnienia. Następnego dnia ksiądz Janusz zawiózł nas samochodem na wzgórze, z którego widać było panoramę na Watykan i zabytki Rzymu, objaśniając nam, gdzie się co znajduje. Nawiedziliśmy też Kościół Św. Piotra w Okowach, gdzie nie zawsze docierają pielgrzymki. Pokazał nam miejsca kultu związane z wczesnym chrześcijaństwem, które nigdy wcześniej ani później nie miałam okazji nawiedzić.

Może to świadczyć o tym, jak bardzo śp. Ksiądz Janusz był uważny na pragnienia innych ludzi i zawsze znalazł czas w swoim zapracowanym dniu, by podzielić się sobą. Nigdy nie myślał o sobie. Troszczył się o potrzebujących i zbawianie dusz, o czym wyraźnie świadczą ostatnie jego słowa skierowane do nas...

**Księżu Januszu,
byłeś i jesteś dla nas
Siewcą Nadziei.
Dziękujemy.**



NASZA PRZYSTAŃ

Trudny czas dla naszych gości



Jak wiecie, Nasze Warsztaty działają już od kwietnia 2018 roku. Przez ten czas wiele u nas się działo i nadal się dzieje. O wszystkich ważniejszych wydarzeniach informujemy Was za pośrednictwem

Internetu lub poprzez gazetkę „Nasza Przystań” i czasopismo „Kotwica”. Podobnie jak przedszkole „Wyspa Skarbów”, które znajduje się po sąsiedzku, przynależymy do Wspólnoty Cichych Pracowników

Krzyża. Siostry ze zgromadzenia na co dzień prowadzą turnusy rehabilitacyjne, podczas których można zregenerować nie tylko ciało, ale przede wszystkim duszę. W zwyczaju mamy, aby naszych gości zapraszać do nas na Warsztaty po to, aby zaprezentować im naszą działalność.

Niestety, czas koronawirusa uniemożliwił nam spotkanie się z gośćmi, którzy tak licznie nas odwiedzali. Jednak i na to znaleźliśmy rozwiązanie. Wspólnie z terapeutami opracowaliśmy prezentację, która przedstawia pokrótce to, czym się zaj-

mujemy na co dzień. Podczas turnusów rehabilitacyjnych Robert, uczestnik warsztatu, wraz z terapeutą opowiada uczestnikom turnusów rehabilitacyjnych o naszej codziennej pracy i osiągnięciach oraz planach na przyszłość. Podczas tych spotkań pada wiele pytań, na które chętnie odpowiadamy. Oczywiście, każda z tych prezentacji odbywa się w pełnym bezpieczeństwie. Jest nam bardzo miło, gdy możemy opowiedzieć o naszej warsztatowej codzienności i zaprezentować liczne prace, które zostały tu przez nas wykonane.

Jak Feniks

Każdy z nas uprawiał jakiś sport w życiu, jednakże są wśród nas ludzie, u których ta rozrywka przerodziła się w prawdziwą pasję, a niekiedy i stała się wręcz sensem życia. Zainspirowani filmem dokumentalnym „Jak Feniks” postanowiliśmy napisać kilka zdań o wrażeniach, jakich doznaliśmy po jego obejrzeniu. Historie na pozór zwykłych ludzi, ukazanych w tym filmie, wywołały w nas uczucie radości, smutku, fascynacji, bo nie każdy z nas ma tyle siły, aby pokonać swoje ograniczenia, słabości i stać się mistrzem świata w swojej dziedzinie.

Sport dla wielu z nas jest rozrywką, zabawą, celem, sposobem na życie, odskocznią od codzienności czy utrzymywaniem dobrej

formy fizycznej. Jednak jest grupa osób, dla której sport jest ucieczką od przeszłości, chęcią sprawdzenia swoich granic czy też ambicją, aby być najlepszym na świecie. Każdy z nich ma swoją historię życiową, która często wyznacza im cel. Osoby z niepełnosprawnością albo się z nią rodzą, albo ją nabywają, jednakże to życie wymusza na nich sposób funkcjonowania w tym świecie. I w tym momencie rozpoczynają się poszukiwania sposobu na życie. Rodzą się pasje, zainteresowania, tworzy się w głowie plan działania. Część z nas wybiera karierę sportowca, ale nie każdemu wystarcza siły, aby tę drogę przejść do końca. Takim największym ziszczeniem tego celu jest zdobycie tytułu mistrza.



Historie bohaterów przedstawione w filmie ukazują trudną drogę, jaką przebyli, walcząc o swoje życie oraz o narodziny Paraolimpiady. Choć nie było łatwo, to dzięki wybitnym sportowcom, aktywistom i organizatorom olimpiady cel ten po wielu trudnościach został zrealizowany, wpływając tym samym na postrzeganie niepełnosprawności i różnorodności na świecie.

My w swojej działalności korzystamy z zajęć sportowych w trakcie rehabilitacji, podczas których biegamy, gramy w piłkę siatkową, ping-ponga, boccie i hokej. Nabierając wprawy i sprawności, uczestniczymy w różnych zawodach, olimpiadach i turniejach, na których zdobywamy puchary i medale. Dzięki tej aktywności czujemy się sprawniej, co pozytywnie wpływa na nasze samopoczucie.



Wakacyjne wspomnienia

Wszyscy dobrze wiemy, że to, co dobre, szybko się kończy – ku końcowi mają się też tego- roczne wakacje. Choć czas wakacyjny kojarzy nam się z bez troską i odpoczynkiem od codzienności, to w tym roku wyglądały one nieco inaczej. Sytuacja spowodowana koronawirusem wymusiła na wszystkich obowiązek przestrzegania zasad bezpieczeństwa i obostrzeń, które czasami zakłócały czas wypoczynku. Mimo że wakacje minęły nam bardzo szybko, były niezwykle aktywne.

Aleksandra swoją przygodę rozpoczęła wyjazdem do Sulechowa. Na miejscu spędziła dużo czasu, spacerując, jeżdżąc na działkę z babcią i dziadkiem, grając w piłkę z kuzynem, robiąc zakupy i chodząc do kościoła. Sulechów znajduje się w województwie lubuskim – choć jest to niewielka miejscowość, to z pewnością może się poszczycić najstarszą i najgrubszą polską morwą białą, nazwaną „Rzepichą”. Rośnie ona przy ul. Poznańskiej, w pobliżu zabytkowej wieży wodnej. Ta przyrodnicza atrakcja Sule-





chowa ma ok. 240 lat, pień tego drzewa ma w obwodzie 4 m i 18 m wysokości, daje dużo cienia w słoneczne dni. Można tam również zobaczyć późnobarokowy zamek z wieżą z XVI w oraz zabytkowe kamienice z XIX i XX wieku – najładniejsze z nich znajdują się na rynku. Po mile spędzonym czasie w Sulechowie nadszedł czas na kolejną przygodę, która trwała jeden dzień. W tym czasie Aleksandra wraz z rodziną i znajomymi postanowiła wybrać się na kajaki. Było to nie lada wyzwanie – kilka godzin wiosłowania po rzece!

Popularnym kierunkiem w tym roku było nasze polskie morze. Joanna wraz z rodziną wyjechała na Hel. Miasteczko to znajduje się w województwie pomorskim, w powiecie puckim, położone jest na cyplu Mierzei Helskiej nad Morzem Bałtyckim, co sprawia, że jest to najbardziej wysunięty punkt na północ na mapie Polski. Najwyższą budowlą w tej miejscowości, mierzącą 42 m, jest latarnia morska. Ważnym punktem jest też fokarium Stacji Morskiej Instytutu Oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego, które pełni ważną rolę na wybrzeżu. Celem jego powstania było wspomaganie ochrony gatunku i upowszechnianie o nim wiedzy. Niewątpliwie warto też odwiedzić Muzeum Obrony Wybrzeża, gdzie można dowiedzieć się o wojennych i powojennych losach Helu. Po zwiedzeniu licznych atrakcji Joanna miała czas na odpoczynek na plaży, rejs statkiem oraz kąpiel w morzu, zbieranie muszelek i długie spacery wzdłuż linii brzegowej.

Marcin też wybrał się nad polskie morze. Swoją wakacyjną przygodę przeżył w Międzyzdrojach, gdzie z rodziną miał okazję spacerować po najpopularniejszych miejscach – podziwiał Promenadę Gwiazd, porównując swoją dłoń z dłońmi ludzi estrady. Podczas tego wyjazdu nie zabrakło długich spacerów po plaży, które w znaczący sposób umiliły ten czas.

Promienie słoneczne nad jeziorem postanowili łąpać Justyna Konrad i Robert. Robert wyjechał w rodzinnym gronie do Tarnawy Jezierniej, w której jest mnóstwo zieleni. Podczas całego tygodnia pogoda sprzyjała kąpielom i spacerom czy uprawianiu nordic walkingu.

Justyna z bratem Konradem wyjechała do nieco większej, ale równie malowniczej miejscowości o nazwie Sława. Mieli tam okazję zobaczyć pierwszą w Polsce Aleję Gwiazd Bluesa, a nad jeziorem korzystali z kąpiei, pływali rowerkiem wodnym i opalali się na plaży.

Choć wakacje minęły nam bardzo szybko, to z pewnością wspomnienia wakacyjne pozostaną z nami na długo.

KOLEGIATA GŁOGOWSKA

Ks. Adrian Put

Powstała z ruin

Należy do najstarszych instytucji kościelnych w Polsce. Była pierwszą spośród wszystkich kolegiat na Śląsku. Choć ostatnia wojna obeszła się z nią bardzo okrutnie, dziś cieszy oko mieszkańców i turystów. Mija właśnie 900 lat od ustanowienia kapituły przy kolegiacie w Głogowie. Kapituła to grono duchownych powołanych do sprawowania i uświetniania liturgii w kościele katedralnym (wówczas mówimy o kapitule katedralnej) lub w kościele kolegiackim (kapituła kolegiacka). W poprzednich wiekach kapituły katedralne uczestniczyły w zarządzaniu diecezją. Miały także udział w wyborach biskupów. Te istniejące przy kolegiacie głównie dbały o piękno służby Bożej i troszczyli się o to, by wierni mieli łatwiejszy dostęp do nauczania prawd wiary i sakramentów. Pierwsze kapituły kanoników na ziemiach polskich powstały przy katedrach. Już w XII wieku podobne fundacje pojawiły się najważniejszych ośrodkach naszego kraju. Głogowska kolegiata, jak podaje zmarły w XV wieku autor katalogu biskupów wrocławskich – Zygmunt Rosicz, jest pierwszą rangą po katedrze Świętego Jana. Chodzi



oczywiście o katedra we Wrocławiu. Jak zatem doszło do powstania kolegiaty w Głogowie?

Początki

Badacze wskazują, że początki kolegiaty padają na 1120 r. Miał ją ufundować biskup wrocławski Heymon, a współfundatorem miał być Wojśław Powąła nazywany „księciem głogowskim”. Choć tytuł ten wydaje się nie do końca poprawny, bo Wojśław był określany także jako Kasztelan. Wskazywany jest również udział Księcia Bolesława Krzywoustego w jej powstaniu, gdyż ufundowano ją na gruntach należących do monarchii. Trzeba jednak uczciwie wspomnieć, że sprawa jej początków jest ciągle badana i dotychczas nie rozwiązano wielu wątpliwości. Dzieje się tak dlatego, że informacje o początkach fundacji pochodzą dopiero z XV wieku. Kolegiatę z biskupem Heymo łączył wspomniany już wikariusz katedry wrocławskiej Rosicz, ale także Jan Długosz czy też Kacper, wikariusz kolegiaty głogowskiej. Późniejsi badacze głównie tylko powielali te informacje. Do dziś nie udało się rozstrzygnąć, przy którym kościele instalowano kapitułę. Czy był to pozostający pod wpływem księcia Krzywoustego, Kościół Najświętszej Maryi Panny, usytuowany poza umocnieniami grodu, czy może, jak przyjmuje część badaczy, postawiony na lewo-



brzeżnej części Głogowa Kościół Świętego Piotra? Tego nie udało się jeszcze jednoznacznie rozstrzygnąć.

Kolegiata

Przypuszcza się, że murowaną kolegiatę zaczęto wznosić na Ostrowie Tumskim w drugiej połowie XII wieku. Dzieło budowy miał kontynuować Henryk Brodaty, a ukończył je Konrad I Głogowski. Z zachowanych źródeł wnioskujemy, że w połowie XIII wieku budowla była już ukończona. Co ciekawe, w miejscu, gdzie stoi obecna kolegiata, świątynie wznoszono już wcześniej. Były tu relikty dwóch romańskich kościołów, dwóch złożań bazyliki późnoromańskiej i wreszcie w XV wieku kolegiaty, która została przebudowana w trójnawowy kościół halowy. Takiej formie zewnętrznej korpus świątyni przetrwał następne wieki. W XVIII wieku miała miejsce barokizacja wnętrza kolegiaty. W XIX wieku zbudowano nową, neogotycką wieżę, która ma 75 m wysokości. Postawiono ją w miejscu wcześniejszej, która uległa zawaleniu w 1831 roku. Sam kościół Kolegiacki uważany był za najważniejszą po katedrze Wrocławskiej świątynię Śląska.

Kapituła

Kapituła, która powstała w Głogowie, była pierwszą tego typu instytucją na rozległym terenie diecezji wrocławskiej. Gdy w XIII wieku dzielono die-

cezje na mniejsze jednostki, głogowska kapituła była bazą do stworzenia organizacji prepozyturalnej (od 1219 r.) i archidiaconalnej (od 1228 r.). Tym samym roku wspomniany jest zresztą pierwszy archidiacon głogowski, będący zarazem pierwszym znanym archidiaconem na Śląsku.

Kanonikami głogowskimi byli duchowni zaakceptowani przez biskupa wrocławskiego. Wśród nich wielu związanych było z dworami królewskimi – czeskimi i węgierskimi oraz dworami księstw: legnickiego, głogowskiego, ścinawskiego, wrocławskiego, ziebickiego, żagańskiego oraz cieszyńskiego. Kapituła głogowska musiała być na tyle prestiżowa, że o kanonie w niej starali się dla swoich podopiecznych również biskupi innych diecezji, a nawet Stolica Apostolska. Wśród kanoników byli uczeni i profesorowie uniwersytetów: krakowskiego, bolońskiego czy też lipskiego. Z wiedzy i doświadczenia głogowskich kanoników korzystali na przykład Karol V Ludwik II i Ferdynand I. Kanonicy byli także powoływani na sędziów reprezentujących Stolicę Apostolską.

Kapituła prowadziła własną szkołę kolegiacką, która była pierwszą szkołą w mieście. Choć nie znamy daty jej powstania, wiemy na przykład, że w połowie XII w. na jej czele stał scholastyk Rambold. Szkoła Kolegiacka była centrum życia intelektualnego całego księstwa głogowskiego.

Koniec kapituły nadszedł wraz z decyzjami władz pruskich z 1810 roku. Wszelkie funkcje duchowe i klasztorne przeszły w ręce państwa. Kolegiacie odebrano wiele wsi o łącznej wartości ponad 257 tys. talarów, a także bibliotekę.

Wojna i odbudowa

Drugą wojnę światową kolegiata przetrwała szczęśliwie. Dramatyczny okazała się jednak koń-

WIADOMOŚCI

Fot. Piotr Krzemiński

cówka działań wojennych. Krótco przed jej końcem Głogów został zmieniony w twierdzę. Miasto było oblegane przez Armię Czerwoną od 11 lutego do 1 kwietnia 1945 roku. Zniszczeniu uległo ponad 90 proc. budynków miasta. Zniknęło praktycznie całe Stare Miasto, poważnie zniszczono także kolegiatę, zabytek stanął w ogniu. Jego dotychczasowe funkcjonowanie zostało brutalnie przerwane. Zburzono



część murów prezbiterium i wszystkie sklepienia; spłonęły dachy, a także ostrzelano wieżę. Dopiero w 1960 roku podjęto prace zabezpieczające, których celem było uczynienie z kolegiaty tak zwanej „trwałej ruiny”. Okaleczone mury świątyni przypominały o dawnej świetności tego miejsca. Kolegiata była prawdziwą raną w mieście, które zaczęło się podnosić z wojennych ruin. Głogów szczególnie intensywnie rozwijać się zaczął wraz z odkryciem złóż miedzi.

Przybywało mieszkańców. Prawa odbudowy świątyni udało się załatwić dopiero w połowie lat 80. ubiegłego wieku – dopiero wtedy pojawiło się zielone światło ze strony władz. Ubiegłego wieku pojawiło się zielone światło ze strony władz. W 1989 roku odbyło się w tej sprawie spotkanie w Ministerstwie Kultury i Sztuki, podczas którego zaprezentowano projekt odbudowy kolegiaty. Prace, które rozpoczęły się w latach 90. ubiegłego wieku, wciąż trwają. Odbudowy podjął się ksiądz prałat Ryszard Dobrołowicz, a dziś dzieło to kontynuuje ksiądz kanonik Rafał Zendran. Teraz prowadzone są tam prace (tak samo żmudne i kosztowne), które mają na celu przywrócenie kolegiacie dawnego blasku.

Kolegiata została uratowana. Dzięki wielu ludziom dobrej woli powstała z ruin. Obok kolegiaty znajduje się dom „Uzdrowienie Chorych” im. Jana Pawła II, prowadzony przez Cichych Pracowników Krzyża.

Ks. Adrian Put,
tygodnik katolicki „Niedziela” nr 38/20 IX 2020 r.



Alpaki – nowa miłość

Anna Wiśniewska

Izabela Rutkowska: Jak to się stało, że zaczęłaś się zajmować alpakami? Zawsze mówiłaś, że się boisz zwierząt.

Anna Wiśniewska: Dzięki wirusowi! Teraz nawet i koni się nie boję. Jeszcze tylko muszę się przełamać do psów. Gdy zaczął się koronawirus, panowie z zakładu karnego nie mogli już u nas pracować i zajmować się zwierzętami. I wtedy właśnie dostałam awans od siostry Gosi. Nowe zadanie – opiekę nad alpakami. Wcześniej zajmowałam się sprzątaniami pokoi, pomagałam w kuchni. Dalej, jak trzeba, pomagam w domu. Jak ktoś lubi pracować, wszystkim umie się zająć.

Jak przyjęłaś taką wiadomość?

Na początku się bałam, ale przecież ktoś musiał to robić. A potem bardzo się z nimi zaprzyjaźniłam. Traktuję alpaki jak moich przyjaciół. I prawda jest taka, że wolę zajmować się zwierzętami niż ludźmi... Mówię im po imieniu.

Jak się nazywają?

Junior (brązowy), Misiek (biały) i Kopytko (czarny, mój ulubiony). Kopytko uratowałam. Gdy przyjechał do nas, miał bardzo duże odleżyny. Smarowałam je maścią i już są malutkie, a Kopytko może chodzić. Karmiłam go wtedy na kolanach.

WYWIAD

Fotografie Adam Stelmach

Co należy do Twoich obowiązków?

Sprzątam im domek, karmię je – alpaki mają specjalną karmę, jedzą marchewki, jabłka (tylko Junior nie lubi jabłek), świeże siano. Codziennie trzeba im zmieniać wodę. Chodzę z nimi czasem na spacer. Pilnuję ich podczas odwiedzin naszych gości, dzieci. Szczególnie muszę pilnować Miśka – jest nowy i jeszcze się wyrzuca, może uciec. Poza tym przyprowadzam alpaki i konie na zajęcia z terapii. Czasem prowadzę konia podczas terapii (najbardziej lubię klacz Algę), pod okiem pani Beatki. I tak mija mi dzień.

A osiołki?

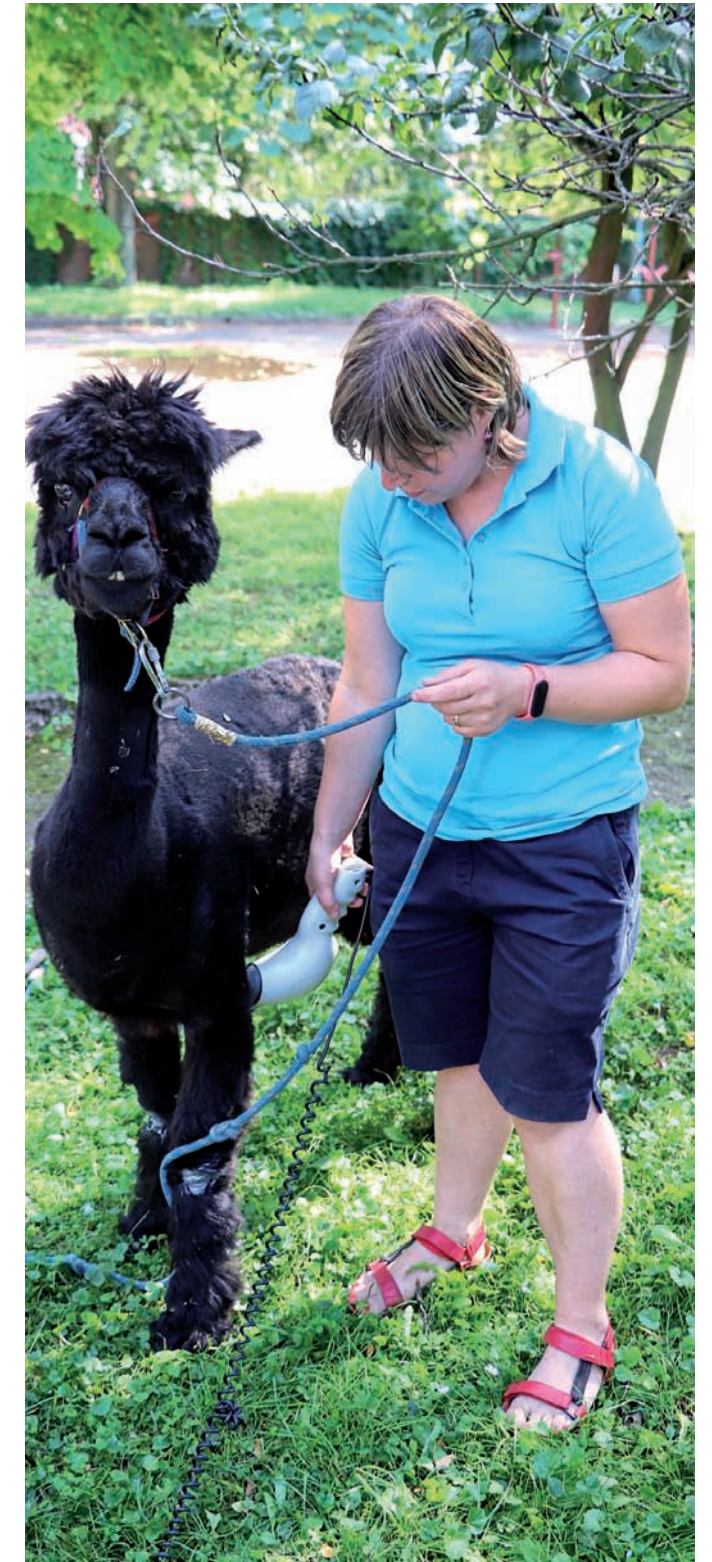
Osiołki pojechały na odchudzanie, nie są nasze, ale wypożyczą nam je na Boże Narodzenie. Chociaż ja chcę, aby przy żłóbku były alpaki – chcę je przebrać w świąteczne stroje – nawet mam już pomysł. Co roku stoję przy żłóbku i zbieram pieniądze dla ks. Janusza na misję. Teraz też będę to robić, razem z Kopytkiem.

Za co najbardziej lubisz alpaki? Co jest w nich tak niesamowitego?

Dzięki nim mniej przeklinam. Gdy jestem zdenerwowana, wystarczy że pójde do nich się przytulić i wszystko mija. One są najlepszą terapią. Są bardzo miłutkie i wdzięczne. Misiek mnie całuje, gdy daję mu marchewkę, Kopytko rozpoznaje mnie z daleka. Ufają mi. A gdy mnie nie ma, szukają mnie. Naprawdę, przepadają za mną. Czują, że je lubię, że się o nie troszczę.

Opowiedz nam jeszcze o swoim marzeniu (zrealizowanym!) skończenia szkoły licealnej. Jak to się zaczęło?

Miałam skończoną tylko szkołę specjalną, ale marzyłam o zwykłym liceum. Nikt nie wierzył, że to się uda, ale pozwolono mi próbować. I się udało. Skończyłam normalne liceum! To była bardzo fajna, przyjazna szkoła, poznałam tam wiele osób, mam nowych kolegów, koleżanki. Potem zrobiłam kurs opieki nad





osobami niepełnosprawnymi i starszymi. Potem był kurs opieki medycznej – mieliśmy praktyki w szpitalu. Umieć udzielać pierwszej pomocy. Teraz marzy mi się kurs opieki nad alpakami.

Jesteś bardzo odważna. Pamiętam, że wiele osób odradzało Ci naukę w tej szkole. Skąd bierzesz taką siłę?

Nie wiem... Gdy mam w sobie silne przekonanie, że coś powinnam zrobić, to to robię. Sama załatwiłam sobie tę szkołę – sama poszłam złożyć dokumenty. Po prostu przede wszystkim słucham własnego serca, a nie innych ludzi. Gdybym słuchała każdego, nic bym nie osiągnęła. Ale potem miałam też duże wsparcie – od siostr, od ks. Rafała. Nie przystąpiłam do matury – widziałam, że nie dam rady, ale i tak jestem dumna – skończyłam normalne liceum!

Wiele osób nie potrafi słuchać własnego serca. Jak to się robi?

Nie wiem... Marzenia są z serca. Mówię o nich, pytam o zdanie ks. Janusza albo siostrę Gosię. Gdy mi pozwalają, od razu realizuję.

Mieszkasz z siostrami już 15 lat. Jak to się zaczęło?

Siostry są dla mnie jak rodzina i czuję, że to jest mój dom. Nie chciałabym być nigdzie indziej. Pochodzę z rodziny wielodzietnej, wcześniej straciłam mamę. Zostałam wysłana do szkoły specjalnej, przed poznaniem Cichych mieszkłam w hostelu Polskiego Stowarzyszenia Osób z Niepełnosprawnością Intelktualną w Nidzicy. Grupa z tego ośrodka co roku przyjeżdżała na rekolekcje do Głogowa. Któregoś roku przyjechałam z nimi i ja. Bardzo mi się spodobowało. Tak bardzo, że chciałam tu zostać. Gdy wracałam do Nidzicy, czułam się nieszczęśliwa, bardzo tęskniłam za siostrami. Przez półtora roku przyjeżdżała więc do mnie s. Nela, aby zabierać mnie na miesięczne pobyty. Po kolejnym takim pobycie nie chciałam już wracać... Zapytałam, czy mogę z nimi mieszkać. Siostry musiały o to zapytać swoich przełożonych w Rzymie. Gdy otrzymały pozwolenie, przyjeły mnie na taki okres próbny. Od tamtej pory mija już 15 lat. Mam tu swój pokój, pracę. Dzięki nim mogę się uczyć. A teraz dostałam awans – pracę z alpakami. I wiem, że gdy tylko będę mogła, zrobię mój wymarzony kurs opieki nad tymi zwierzętami. Jestem szczęśliwa.

Bądź razem z nami miłosiernym samarytaninem dla dzieci z Kamerunu!



Cisi Pracownicy Krzyża

konto nr: 33 1090 2079 0000 0001 2287 8675

tytułem: POMOC AFRYCE

Bez Jezusa Krzyż nie ma sensu

*Ks. dr Stanisław Staśko –
II część wywiadu*



Izabela Rutkowska: *Powiedział Ksiądz, że weryfikacją naszego wyobrażenia o świecie i o własnym życiu jest często niechciana choroba, cierpienie czy niepełnosprawność. Wówczas życie staje się krzyżem i to krzyżem nie do zniesienia. I okazuje się, że ten krzyż wcale nie daje wystarczającej odpowiedzi, nie daje wystarczającego poczucia sensu – tak, aby chciało się dalej żyć. W jakim sensie?*

Ks. Stanisław Staśko: Zwykliśmy mówić, że każda trudność, każde cierpienie, ciężary życia to krzyż. Jednak, aby krzyż rzucił zbawcze światło na nasze osobiste cierpienie, musi być do niego przybity Chrystus. Odpowiedzią na nasz krzyż, na nasze cierpienie nie jest inny krzyż, cudzy krzyż, lecz odpowiedzią tą może być wyłącznie Ukrzyżowany Chrystus. Jedynie On, przybity do krzyża Zbawca, nadaje sens naszemu życiu i cierpieniu. Sam krzyż przeraża, odstrasza. Pozostaje wciąż tylko narzędziem zbrodni i symbolem niewyobrażalnego cierpienia. W historii, w starożytności „wyprodukowano”, wykonano, postawiono wiele krzyży, a na nich uśmiercono tysiące, może nawet setki tysięcy ludzi (i to jeszcze przed narodzeniem Chrystusa).

Odbierano ludziom życie pozbawiając ich sensu cierpienia. Tak było do czasu ukrzyżowania na Golgocie Boskiego Syna, Jezusa Chrystusa. Od tamtej chwili wszystko się zmieniło. Prorok Izajasz blisko sześć wieków przed śmiercią Jezusa na krzyżu, tak pisał o cierpieniach Mesjasza: „Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści, oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa, wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic. Lecz On się obarczył naszym cierpieniem, On dźwigał nasze boleści, a myśmy Go za skazańca uznali, chłostanego przez Boga i zdeptanego. Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie” (Iz 53, 3-5). Każdy człowiek czy tego chce, czy nie, będzie dźwigał jakiś swój osobisty ciężar życia, który zwykliśmy nazywać krzyżem. Również ten, który teraz wypowiada te słowa (autor tekstu), a który od 37 lat zmagają się z chorobami i cierpieniem, choć tego po nim nie widać! Takie cierpienie to dopiero krzyż!

Codzienny ból towarzyszy mi od ponad dwudziestu lat. Znam też taki ból, który był krzyżem nie do uniesienia, który zmienił nie tylko styl mego życia, ale momentami był nawet dla mego życia zagrożeniem. Nie jestem teoretykiem cierpienia. Z autopsji, szczególnie z tego krytycznego momentu sprzed 11 lat, kiedy ból spowodowany nieudaną operacją nie tylko mnie ograniczył, ale mnie niemal zniszczył, nie pozwalając mi spać z bólu przez 80 dni i nocy, nie pozwalając mi żyć. Każdego dnia i każdej nocy zmieniał mój sposób widzenia i postrzegania świata. Nie chciałem cierpieć z Jezusem, byłem zbyt dumny i zbyt niezależny. Chciałem się „uczyć” cierpienia, cierpiąc sam, bez Boga, bez Jezusa ukrzyżowanego, bez rodziny, bez przyjaciół, bez kolegów księży. Zamknięty za drzwiami, coraz mocniej gryzłem poduszkę, byle nikomu nie pokazać, jak cierpię. Wyłem z bólu, tłumiąc krzyk poduszką. Tylko łez spływających po policzkach nie byłem w stanie powstrzymać. Chciałem żyć, ale nie chciałem żyć w takim cierpieniu. Cierpiałem w takim opuszczeniu, w takim osamotnieniu i zapomnieniu od Boga i ludzi (tak myślałem), że w końcu znalazłem się niemal na krawędzi rozpaczy.

Wówczas, tamtej nocy z 12 na 13 grudnia 2010 roku, czując się opuszczonym niemal przez wszystkich, w poświęceniu lamp ulicznych, ujrzałem Go. Zobaczyłem Ukrzyżowanego Jezusa, przybitego do krzyża, który zawsze był w moim pokoju, zawsze był tak blisko. Tamtej nocy nakrzyczałem na Niego. Byłem jak „kolejny” łotr, ukrzyżowany na wzgórzu współczesnej „Golgoty”, nieopodal Jezusa, również ukrzyżowanego. Zacząłem rozpaczliwie wołać do Niego. Z moich ust wyrwały się obolałe słowa. Czasami były słowami złego łotra, a czasami słowami dobrego „łotra”. Płakałem? Nie! Nie płakałem,

tylko wyłem jak zranione zwierzę przytrzaśnięte palącą jak ogień metalową wnyką. Tamtej nocy na komodzie w mojej sypialni w poświacie światła zobaczyłem żywego Jezusa, a nie kawałek drewna, drewnianego korpusu „ładnego” Jezusa, który bezboleśnie wisiał na „ładnym” krzyżu. Prawdziwe krzyże, te, na których się cierpi i umiera, nigdy nie są ładne. Krzyczałem do Boga żywego. I wysłuchał mnie. Nie, nie zabrał mnie Jezus tamtej nocy do „raju” ani mi nie obiecał raju, jak tamtemu „dobremu” łotrowi! Tamtej strasznej nocy dał tylko mym ukrzyżowanym powiekom prawdziwą ulgę. Pozwolił mi pierwszy raz po niemal trzech miesiącach zasnąć. Pan zesłał na mnie zbawienny, trzygodzinny sen, abym mógł się obudzić o piątej nad ranem „jakbym był w niebie”.

Sam krzyż nie wystarczy, aby przynieść ulgę w cierpieniu. Doskonale o tym wiedzą ci, którzy cierpią. Co więcej, krzyż sam w sobie jest tylko cierpieniem i to czasami cierpieniem okrutnym i bezsensownym. Wszystko jednak zmieniło się dopiero wtedy, gdyśmy ukrzyżowali Jezusa – gdy ukrzyżowano Pana życia, Osobę najbardziej niewinną, gdy ukrzyżowano Zbawiciela. To Jego Osoba, Jego ukrzyżowanie dało sens cierpieniu. Dało sens życiu i śmierci. Takiego Jezusa spotkałem tamtej nocy. Czy przestałem cierpieć? Niestety, nie. Dlatego jestem obecnie u Cichych Pracowników Krzyża, tu, w Głogowie. Jestem na kolejnej w moim życiu i z pewnością nie ostatniej rehabilitacji. Jezus, którego wówczas spotkałem, nie zabrał mi cierpienia, ale jak napisałem w jednym z wierszy: „wziął mnie za rękę i poszliśmy obydwa na Kalwarię zbawiać świat”. Bez Jezusa krzyż nie ma sensu. Dlatego ci, którzy nie znają Jezusa jako Boga ukrzyżowanego z miłości, szukają jednego, a zarazem najbardziej absurdu „rozwiązania”, bo unicestwiającego człowieka, eliminującego spośród nas chorych, cierpiących, żyjących w depresji, niepełnosprawnych. Stąd ich nieludzki pomysł wykonywania eutanazji czy eugeniki – które są „produktem” ateistycznej filozofii.

Zna Ksiądz nauczanie bł. Luigiego Novarese. On, doświadczony cierpieniem, nie dał się zwieść takiej

wizji świata, świata bez chorych, bez niepełnosprawnych, bez cierpienia – bez Jezusa ukrzyżowanego.

Najwięcej o bł. ks. Luigim Novarese dowiedziałem się od ks. Janusza Malskiego, obecnego przełożonego generalnego „Cichych Pracowników Krzyża”. Przeczytałem też o nim kilka książek. Cytowałem jego myśli w moim doktoracie. Wczytywałem się trochę w jego życiorys, w jego pisma i muszę przyznać, że jego idee były i są mi bardzo bliskie. Porównywałem jego myśli i decyzje z moją pracą na rzecz chorych i niepełnosprawnych, którą prowadziłem w Polsce, w diecezji tarnowskiej przed trzydziestu laty. Wtedy, kiedy zaczynałem organizować duszpasterstwo dla osób niepełnosprawnych ruchowo (1986 r.), nawet nie miałem pojęcia, że gdzieś w świecie istnieje jeszcze ktoś, kto przede mną zrozumiał, że Kościół i świat muszą wyjść na ulicę, wejść do zaryglowanych domów, przejść przez niemal zamknięte drzwi ludzkiej świadomości, by przebić się z ideą: tu jest nasz skarb, tu jest człowiek doświadczony cierpieniem, depresją, niepełnosprawnością, nasz „połamany Chrystus”.

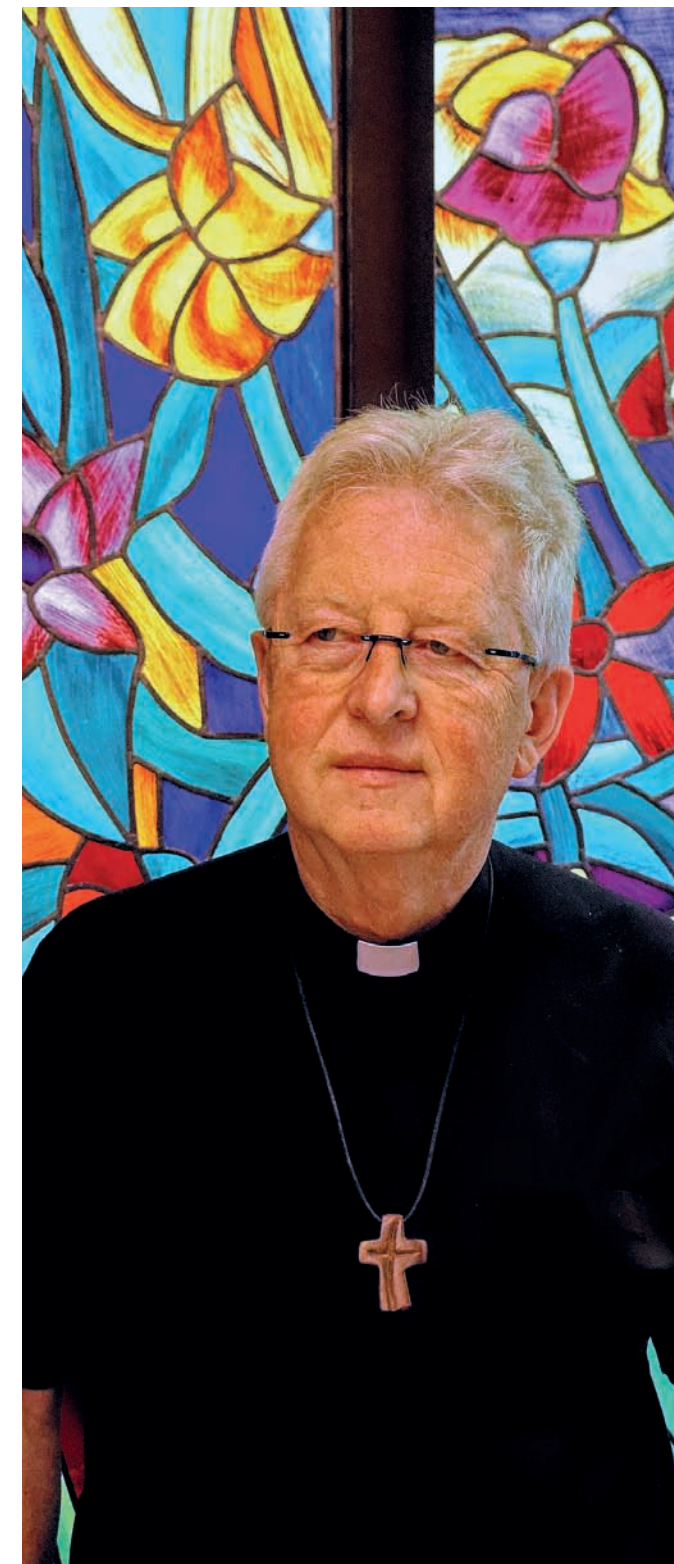
To człowiek czasami bez nóg, czasami bez rąk, ale zawsze człowiek potrzebujący mego serca. Misją Kościoła jest otwieranie – w imię Boga, w imię Ukrzyżowanego, w imię ukrzyżowanej Miłości – wszelkich drzwi uprzedzeń, izolacji, nietolerancji i budowanie świata równych praw i równych szans. My, ludzie Jezusowego Kościoła, mamy obowiązek czasami dosłownie przynieść na rękach „ukrzyżowanych cierpieniem”, przynieść osoby chore, niepełnosprawne do Jezusa, do Jezusowego Kościoła, do naszych kaplic, aby już dłużej nie cierpieli bez sensu, ale aby wraz z Jezusem objawiali nam Miłość Boga i zbawiali nas miłością.

Bł. Luigi Novarese stworzył we Włoszech wspańnięte i skuteczne struktury duszpasterskie dla osób chorych i niepełnosprawnych. Szkoda, że go osobiście nie poznałem... Teoretycznie mogłem go jeszcze osobiście spotkać i wiele się od niego nauczyć. Na szczęście teraz, będąc na rehabilitacji w Głogowie, u „Cichych” poznałem lepiej Jego dzieło i spot-

kałem ludzi zachwyconych jego dziełem i prowadzących teraz jego misję, także w Polsce.

Trudno się jednak dziwić, że tak piękne idee nie mogły w tamtych latach dotrzeć do nas, do Polski. To konsekwencja istniejącej wówczas „żelaznej kurtyny”, cenzury oraz izolowania Kościoła Katolickiego od reszty świata przez komunistyczny PRL. W tamtych latach nawet nauczanie papieskie z trudem do nas docierało. Jednak dziś, lepiej poznając dzieło bł. Luigiego, z satysfakcją mogę stwierdzić, że mieliśmy wówczas zbliżone pomysły i pragnienia. Sama myśl o stworzeniu struktur w diecezji tarnowskiej dla pionierskiego duszpasterstwa dedykowanego osobom z niepełnosprawnością była (w moim przekonaniu) zdecydowanie pomysłem Ducha Świętego. Ja nie miałem wówczas żadnych wzorców, ale czułem, że muszę zrobić wszystko, aby chorzy mieli zagwarantowane swoje miejsce w Kościele, w diecezji, w parafiach. Prawdę mówiąc, do dzisiaj w wielu diecezjach nie ma takich struktur i nie ma takiego duszpasterstwa jak duszpasterstwo niepełnosprawnych.

Jak bardzo ciężkie może być życie z nieuleczalną chorobą, z wrodzoną lub nabytą niepełnosprawnością, mogliby powiedzieć tylko ci, którzy czują się przybici do krzyża. Z całym przekonaniem twierdzą, że brak takiego duszpasterstwa lub takiej działalności, jaką obecnie prowadzą Cisi Pracownicy Krzyża, powinien być dla wielu ludzi wyrzutem sumienia. Wszyscy papieże powtarzają, że chory jest skarbem Kościoła, ale często ten skarb wciąż jest zapomniany, niedoceniony, często opuszczony, zostawiony samemu sobie. Ciągłe brakuje tej głębokiej świadomości, że człowiek cierpiący naprawdę jest nam, zdrowym, bardzo potrzebny w Kościele, tak jak bardzo potrzebne są w naszych Kościołach wizerunki Jezusa ukrzyżowanego. Nie zapominajmy, że Pan Jezus najwięcej uczynił dla świata, dla ludzkości, dla każdego z nas wówczas, kiedy po ludzku nie mógł już nic zrobić, kiedy był ukrzyżowany. To wtedy, gdy był umęczony i ukrzyżowany, zbawił cały świat.



Wiele osób ma problem z obecnością krzyża w przestrzeni publicznej. Może nasze społeczeństwo już nie potrzebuje krzyża?

W oczach wielu współczesnych ludzi, a zwłaszcza liberalnych aktywistów, bardzo często człowiek cierpiący, chory, niepełnosprawny, w jakimś sensie „ukrzyżowany”, jest po prostu bezużyteczny. Jeśli nie ma z niego konkretnego pożytku, to..., to po co miałby żyć? Tyle, że takie myślenie nie jest prawdziwe. Usuwanie krzyża jest formą zakłamywania świata. Jest niczym innym jak „powrotem”, tyle że kuchennymi drzwiami do tych samych lewicowych poglądów. Pokazujemy świat pięknych, zdrowych, wysportowanych, uśmiechniętych, a świat chorych, cierpiących ukrywamy lub wyeliminujemy. To właśnie jest zakłamywaniem prawdy o człowieku stworzonym przez Boga. Bóg nie stworzył nas doskonałymi. Każdy jest jakimś mniej czy bardziej „wybra-kowanym”. Problem cierpienia nie zniknie, kiedy z przestrzeni publicznej usuniemy Jezusa zbawiającego nas na krzyżu. Brońmy człowieka! Nie gódźmy się na zakłamaną narrację o zredukowanym człowieku wyłącznie do wymiaru jego użyteczności. Taka narracja, widząca w osobie ludzkiej wyłącznie kategorię użytecznego narzędzia, pozbawia człowieka jego wrodzonej godności, odbiera mu nadzieję, a w końcu go zabija. I o tym wymiarze osoby powinni przede wszystkim mówić ludzie Kościoła, tak biskupi, jak i wszyscy księża, klerycy, wspólnoty zakonne, a także świeccy. Nie bójmy się w ciele chorych i niepełnosprawnych dotykać żywych ran żywego Jezusa, który dziś w nich żyje i cierpi, ale też i w nich „zbawia”. To oni nieustannie w swym ciele, podobnie jak św. Paweł, mogą teraz radować się „w cierpieniach za was i ze swej strony w [swoim] ciele dopełniać braki udręk Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (por. Kol 1, 24).

Nie uważa Ksiądz, że takie redukcjonistyczne myślenie o człowieku także chce zdominować świat ludzi chorych, niepełnosprawnych, których sens życia wyznacza się głównie poprzez ich aktywizację?

Niestety, tak właśnie się dzieje. Nasz świat został zdominowany przez materialistyczny i ateistyczny utilitaryzm. Utilitaryzm to żadna nowa idea. W czasach komunistycznych w „bloku sowieckim” prawo bytu miały zazwyczaj jedynie „Spółdzielnie inwalidzkie”. Byłeś „dobrym” chorym, niepełnosprawnym, jeśli wykonywałeś jaką „użyteczną” pracę. Nikt tam nie dbał o zdrowie ducha (często bardzo ciężko pracujących fizycznie) „inwalidów”. Nie troszczono się o ich duchową kondycję. Zakłady te były ideologicznie „zamknięte” na jakiegokolwiek duszpasterstwo. W okresie PRL-u Kościół Katolicki w Polsce z trudem uchronił działalność duszpasterską kapelanów szpitalnych, ale nigdy nie udało się mu zanieść Jezusa Ukrzyżowanego do „Spółdzielni inwalidzkich”, gdzie również człowiek cierpiał, nie tylko fizycznie, z powodu swej niesprawności, „inwalidztwa”, ale i duchowo, kiedy ich ciężka praca była niejednokrotnie okupiona wieloma upokorzeniami.

Dziś mamy większą świadomość potrzeb i praw osób chorych i niepełnosprawnych. Niestety, tamta redukcjonistyczna ideologia, widząca „wartość” człowieka wyłącznie w jego pracy, w jego „użyteczności”, nie umarła. Jak bumerang powracają do nas tamte stare hasła, może w ładniejszym „opakowaniu”: „Jesteś człowiekiem, jeśli jesteś użyteczny!”. Dziś ma się wrażenie, że na takich sloganach buduje się obecnie „nową” filozofię, w której wmawia się wszystkim ludziom, tak zdrowym jak i chorym, że jedynym sensem istnienia i życia człowieka jest jego zdolność do konsumpcji. Stąd próby eliminacji dzieci niepełnosprawnych już na etapie ich życia płodowego (aborcja eugeniczna, selekcja prenatalna) - ponieważ kiedy się urodzą, nie będą użyteczne dla społeczeństwa, gdyż nie będą mogły pracować! To nie jest chrześcijańskie myślenie. Na takie myślenie nie może być zgody ze strony ani jednej osoby wierzącej, która wyznaje, że Chrystus nas zbawił na Krzyżu!

Usprawnianie chorego, aktywizacja osoby z jakąkolwiek dysfunkcją samo w sobie jest czymś szlachetnym, niezbędnym i jak najbardziej potrzebnym. Mam jednak wrażenie, że czasami (nie twierdzę, że jest tak za każdym razem), zdarza się i to wcale nie

tak rzadko, że w wielu „zakładach”, „warsztatach” nie tyle chodzi o rozwój człowieka poprzez usprawnienie, nie tyle chodzi o rozwój jego człowieczeństwa, uświadomienie mu jego niezbywalnej godności, w tym również jego ducha, wartości duchowych, aby nie widział w swoich ograniczeniach tylko „bezużyteczny” krzyż, ale by odkrywał w nim swą rolę, by odkrył swój świadomy i cenny udział w Misji ukrzyżowanego Chrystusa. Tymczasem zdarza się, że niektóre organizacje działające na rzecz niepełnosprawnych czasami widzą w niepełnosprawnych jakby numer statystyczny, potrzebny dla NFZ-u czy PFRON-u. Czasami współczesne, rzeczywiście piękne i nowoczesne „warsztaty”, po trochu znowu upodabniają się do tamtych dawnych „Spółdzielni inwalidzkich”, gdzie zapomniano o duchowych potrzebach człowieka cierpiącego.

Zabranie człowiekowi cierpiącemu sprzed oczu Ukrzyżowanego, Jezusa przybitego do krzyża, jest niejednokrotnie odcięciem człowieka będącego w autentycznej potrzebie od Źródła życia, od sensu życia. I tak oto znowu gdzieś po drodze ginie nam człowiek. Znowu, w tych strukturach, statystykach, w rubrykach, czasami wydaje się, że już nie chodzi o człowieka, nie chodzi o wydobywanie go z niebytu, ale czasami tylko o środki przypisane i przeznaczone przez państwo na czysto ludzką aktywizację ciała. Tego nie robił Ksiądz Novarese i tego nie czynią „Cisi Pracownicy Krzyża”.

Ksiądz Novarese zakładał dla chorych i niepełnosprawnych warsztaty, ucząc i formując ich poprzez pracę, ale zawsze w centrum stał Jezus ukrzyżowany. Traktujemy człowieka integralnie. Ksiądz Novarese nigdy nie zapominał, że człowiek, w tym każdy

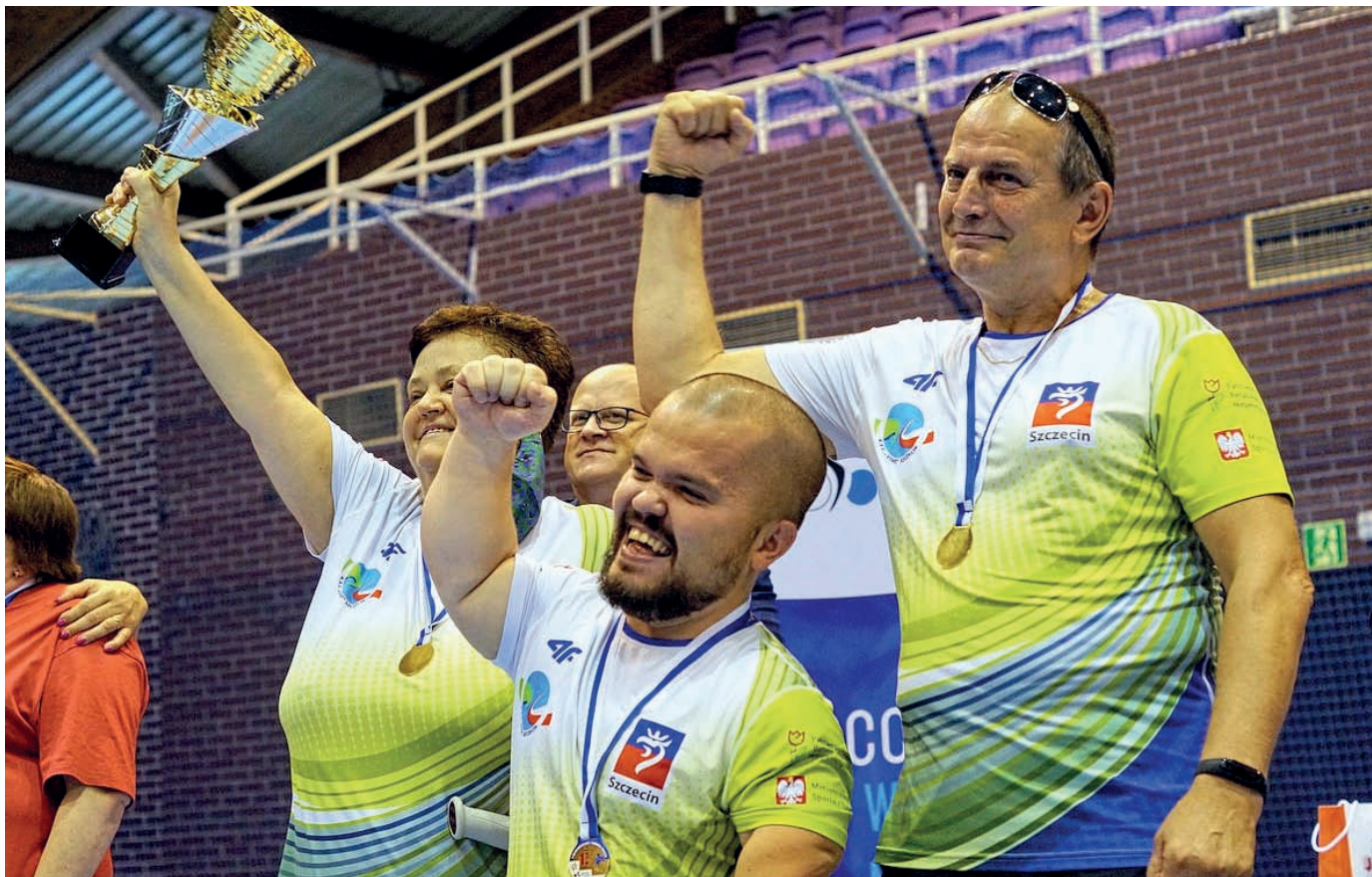
chory i każdy niepełnosprawny jest zawsze istotą duchowo-cieleśną (także podczas pracy). Troszczymy się o to, aby podejmując współpracę ze wszelkimi instytucjami działającymi dla niepełnosprawnych i z nimi, nie zapominać o zrobieniu miejsca dla Jezusa Ukrzyżowanego. Nie może bowiem w naszej pracy z chorymi i niepełnosprawnymi chodzić tylko o to, aby byli „użyteczni”, „przydatni”, jakby tylko ten wymiar miał być usprawiedliwieniem życia z niepełnosprawnością.

Groźnym skutkiem takiej redukcjonistycznej narracji, takiej antropologii pozbawionej ducha, w której człowiek jest sprowadzony niemal do roli użytecznego narzędzia, bywa totalitaryzm. W takim świecie życie człowieka, zwłaszcza człowieka ciężko chorego, zaczyna polegać niemal wyłącznie na ciągłym udowadnianiu swojej użyteczności, aby przypadkiem w oczach innych nie utracić „prawa” do życia. W systemach totalitarnych (nazizm, komunizm), zawsze ktoś z „zewnątrz” (urzędnik, lekarz) mógł uznaniowo traktować niepełnosprawnego, decydując za niego o jego prawie do życia (eugenika, eutanazja). W kolejnej „mutacji” nowego totalitaryzmu, opartego na ateistycznych ideach redukcjonizmu i utilitaryzmu, któregoś dnia „taki ktoś” może zdecydować także i za nas... Gdy nie będziemy potrafili udowodnić swej przydatności, otrzymamy wyrok śmierci „z urzędu”.

Okrutna wizja...

Przed taką cywilizacją, w której nie ma Boga, w której neguje się prawo człowieka do Boga, przestrzegał właśnie św. Jan Paweł II, nazywając ją wprost „cywilizacją śmierci”.





Boccia w czasie pandemii

Andrzej Maciejewski

Czas pandemii zamroził wiele dziedzin aktywności społecznych. Nie inaczej było ze sportem osób z niepełnosprawnościami. Potrzeba realizowania pasji sportowych tej szczególnej grupy jest jednak wielka. Rozumieją to działacze sportowi, więc już pod koniec sierpnia w Szczecinie odbyły się pierwsze po długiej przerwie zawody w Bocci, zorganizowane przez Start Szczecin. Niedługo później, 5 września przyszedł czas na długo oczekiwane zawody integracyjne w Głogowie. I tutaj nie było problemów z frekwencją. Na starcie zawodów zorganizowanych przez głogowski Klub IKSON stanę-

ło 15 drużyn, a wśród nich reprezentacje stowarzyszeń sportowych z Poznania, Zielonej Góry, Wrocławia, Jeleniej Góry, Kielc, Szczecina, Sławy i oczywiście Głogowa. By zminimalizować ryzyko zarażenia, stosowane były zasady reżimu pandemicznego. Wszyscy uczestnicy otrzymali też przed rozpoczęciem zawodów przyłbice. Blisko sześć godzin zmagania sportowych wyłoniło zwycięskie drużyny. Na podium stanął Start Szczecin, Start Wrocław i Autenticon Sława. Nagrody oraz medale w tych najbardziej pożądanych kolorach wręczyli przedstawiciele instytucji wspierających Boccie: Vice-

prezydent Głogowa Wojciech Borecki i Viceprezes Legnickiej Strefy Ekonomicznej Przemysław Bożek. Zawody niewątpliwie można zaliczyć do udanych.

Niedługo później, między 10 a 13 września, nasi południowi sąsiedzi zorganizowali coroczne międzynarodowe zawody w Havirowie. Stawiła się tam na starcie niemal cała polska kadra bocci. Efekty były imponujące. Polacy przywieźli ze sobą worek medali. Było ich 13, a jeśli policzyć te, które otrzymują asystenci zawodników BC3, to nawet 17! Te najcenniejsze zdobyli: indywidualnie Wojciech Lamch BC1, Edyta Owczarz BC3 (asystentka Krystyna Owczarz), para BC3 Edyta Owczarz, Damian Iskrzycki (asystent Dariusz Borowiec), para BC4 Andrzej Janowski, Dominik Walczyk. Srebro przypadło w udziale indywidualnie Zbyszkowi Bednarowski BC3 (asystentka Anna Stasiak), Dominikowi Walczykowi BC4 oraz parze BC3 Jarosław Plewa, Zbigniew Bednarek. Solidny brąz przywiozła Drużyna BC1/BC2 w składzie: Kinga Koza, Antoni Kołodenny, Wojciech Lamch.

Zawody w Czechach były solidną rozgrzewką przed rozpoczynającym się cyklem turniejów Polskiej Ligi Bocci. Pierwszy z nich odbył się już tradycyjnie w podczęstochowskich Konopiskach. W ramach X Turnieju Prometheus Cup wystartowali także zawodnicy z Czech, Włoch i Chorwacji. Polacy rywalizowali tam z powodzeniem z medalistami Igrzysk Paraolimpijskich: Chorwatem Davorem Komarem i Czechem Radkiem Prochazką.

Polska Liga Bocci jeszcze w tym roku zagości w Kielcach, Zielonej Górze, Głogowie i w Wągrowcu. Takie są przynajmniej plany Polskiego Związku Bocci. Ostatni z turniejów wyłoni zwycięzców Ligi w poszczególnych klasach sportowych. Rok 2020 miał być rokiem Igrzysk w Tokio. Nie odbyły się również żadne z planowanych zawodów Światowej Ligi Bocci. Dotychczas rozegrane zawody w Polsce i Czechach pokazują gotowość i wielką chęć do aktywności i rywalizacji sportowej osób z niepełnosprawnościami pomimo obiektywnych trudności.



Cierpienie w życiu św. Józefa

Mieczysław Guzewicz

Wcześniej, w numerze trzecim Kotwicy, ukazało się moje rozważanie przybliżające cierpienie w życiu Najświętszej Panienki. Obecnie pragnę się zająć podobnym zagadnieniem w odniesieniu do Jej męża, Józefa z Nazaretu. W tematyce cierpienia jest to postać szczególna.

Na pozór, co często jest podkreślane, niewiele wiemy o jego życiu. Nie jest tak do końca. W tekstach, w których występuje, zawsze nierozdzielnie ze swoją żoną, zawiera się spora ilość informacji o nim, o jego przeżyciach, rozterkach, bolesnych doświadczeniach.

Ewangelisti Mateusz i Łukasz ukazują naszego bohatera jednoznacznie jako męża Maryi: „Z narodzeniem Jezusa Chrystusa było tak. Po zaślubinach Matki Jego, Maryi, z Józefem, wpierw nim zamieszkali razem, znalazła się brzemienną za sprawą Ducha Świętego” (Mt 1, 18).

„W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja” (Łk 1, 26-27).

Podkreślam to, ponieważ w naszej świadomości raczej słabo utrwala się ten fakt. Bardzo mocno czcimy Matkę Bożą, dosyć mocnym kultem otoczony jest Ciesla z Nazaretu, ale oni oboje, jako piękne, godne naśladowania małżeństwo, nie są za bar-

dzo obecni w kulcie, tradycji, powszechnej świadomości. Pragnąc wskazać różne trudne sytuacje w życiu Józefa, rodzące dużą ilość bólu, którym był nękany, musimy starać się wydobywać potrzebne dla nas fakty nade wszystko z ich niezwykłego związku.

Zwiastowanie pierwsze

Dobrze znana jest ta szczególna historia, od której rozpoczyna się powolne objawianie się Bożego zamysłu wobec ludzkości, dotyczącego wcielenia Jezusa. Porusza nas mocno bardzo wysoki poziom inteligencji, wrażliwości i duchowości Młodej Dziewczyny z ubogiego Nazaretu. Przekazanie Jej Bożej propozycji, wskazanie, że jeśli się zgodzi, zostanie Matką Odkupiciela, wypowiedzenie ważnych słów: „Niech mi się stanie”, dokonało się już w kontekście młodego związku naszych bohaterów. Oni już byli małżeństwem, więc było to nie tyle zwiastowaniem Maryi, ile raczej zwiastowanie małżeństwu Maryi i Józefa. Małżonkowie, zgodnie z Bożym zamysłem i z Jego woli, po wypowiedzeniu i zapisaniu słów przysięgi, stają się „jednym ciałem”. Jest to jedność niezwykła, nieporównywalna z żadną inną relacją osób, więź pełna, o której w swoim nauczaniu Jezus powiedział: „A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela” (Mt 19, 6).

Pojawienie się dzieciątka w łonie Maryi było w rzeczywistości zaistnieniem małej istotki w związku małżeńskim Maryi i Józefa. Nie wiemy, jakie doznanie zrodziły się we wnętrzu Niepokalanej Panienki. Możemy się domyślać, że była to wręcz eksplozja wszelkich pozytywnych uczuć i emocji, mocno odzwierciedlonych w słowach uwielbienia, wypowiedzianych podczas spotkania z krewną Elżbietą.

Do pewnego momentu Józef nie wiedział o całkowitej zmianie jakości ich związku. Po powrocie Maryi z Ain Karim jej stan błogosławiony nie mógł być już niedostrzegalny. Błogosławiona Katharina Emmerich w swojej publikacji *Życie Maryi*, będącej zapisem jej cudownych wizji, przekazuje, że młoda żona wróciła do Nazaretu w towarzystwie Zachariasza i to właśnie on podjął się misji powiadomienia Józefa o odmiennym stanie jego żony. Niemiecka mistyczka zrelacjonowała to w taki sposób: „Miriam, twoja oblubienica – rzekł i głos jego nieco zadrżał – znalazła się w stanie błogosławionym za sprawą Elohim. Dłoń Józefa, który właśnie podnosił kubek do ust, poczęła z wolna opadać. Z nachylonego naczynia, nad którym już nie panowały jego palce, wyciekła złota smuga wina i natychmiast wsiąkła w spragnioną ziemię. Kubek wypadł z jego dłoni i natychmiast potoczył się do stóp Zachariasza”. Możemy wprost skonkludować: Józef doznał szoku. Jego śliczna, pod każdym względem wyjątkowa żona zdradziła go.



W mojej pracy z małżeństwami wielokrotnie rozmawiałem z osobami zranionymi zdradą. Można dostrzec pewną różnorodność sytuacji. Czasami działo się to w okresie głębokiego kryzysu małżeństwa, znacznego osłabienia więzi, pojawienia się i utrwalania wielu złych emocji wobec siebie. Wiadomość o zdradzie jest zawsze bardzo bolesna, ale w związku, którego wzajemne relacje mocno osłabły, poziom zranienia jest raczej mniejszy. Czasami informacja taka jest kwitowana stwierdzeniem: „I tak mnie już z tobą nic nie łączy”. Jednak może być także odwrotnie, kiedy słowa „zdradziłem (am) cię” są nieomal dosłownie sztyletem wbitym w serce.

Wiele lat temu rozmawiałem z młodą żoną, mamą kilkumiesięcznego dziecka, o takiej właśnie sytuacji. Mąż odszedł od niej, kiedy przez okres kilku tygodni przed porodem była w szpitalu. Niezależnie od treści jej zwierzeń, sposób mówienia i twarz potwierdzały, że jest ona nieomal w agonii. Siły do życia czerpała tylko z przytulenia małej istotki, widoku jej twarzyczki, blasku cudownych oczek. Nie można mieć wątpliwości, że im większy jest poziom miłości łączący małżonków, tym większy ból po takim zranieniu.

Maryję i Józefa łączyła miłość najczystsza i najpiękniejsza spośród wszystkich ludzkich związków kobiety i mężczyzny. Miłość nieomal doskonała, jaka może łączyć dwojga. Ból, którego młody mąż doznał w chwili usłyszenia wiadomości: twoja żona jest w ciąży, był także nieporównywalny z cierpieniem każdego zdradzonego współmałżonka.

Rozpościera się w tym momencie przed nami zupełnie zastonięta wielka, mroczna kotara. Tego, co działo się w dalszych dniach i tygodniach, możemy się tylko domyślać. Młody cieśla wchodzi w ciemność. W jego świadomości powstaje kłębowisko negatywnych uczuć. Jest to trauma o najwyższym poziomie. Owszem, jest sprawiedliwy, szlachetny, bogobojny, uczciwy, pracowity, ale... jest zwykłym człowiekiem, wyposażonym przez Boga w niezgłębione pokłady emocji, ekscytacji, doznań. Ma w sobie całą mapę uczuć: od miłości po gniew, od spokoju po zniecierpliwienie, od łagodności po agresję, od wyciszenia po rozdygotanie, od ufności po zwątpienie, od radości do smutku. Wielkość człowieka polega najpierw na tym, że rozumie mechanizmy złożoności swojego wnętrza, bogactwo i różnorodność reakcji, ale też umie utrzymywać je we właściwych granicach. Nie zawsze trzeba tłumić wewnętrzne odczucia. Wielokrotnie potrzebne jest „przepracowanie” w sobie doznań, pokładanie myśli. Do tego niekiedy potrzebna jest rozmowa, nie- rzadko czas spędzony w samotności.

Nic o tym nie wspominają Ewangelisci, ale jest wielce prawdopodobne, że Józefa ogarnia nawet rozpacz, stan podobny do tego, jaki przeżywała Sara z Księgi Tobiasza, poddająca się nawet myślom samobójczym. Wyprowadza ją z tego Boży wysłannik, Archanioł Rafał (por. Tb 3, 7-17). I tu także Bóg interweniuje, wcześniej dopuszczając do spotę-

gowania się tak trudnych odczuć. Zapewne daje mu w ten sposób z jednej strony możliwość wzrostu miłości małżeńskiej – poprzez „oczyszczenie jej w ogniu”, a z drugiej przygotowuje ten młody związek do wielu innych trudnych chwil, jakie będą czekały na nich w przyszłości.

Zwiastowanie drugie

Kiedy w miarę upływu czasu i w miarę poszukiwania oblicza Boga pośród galilejskich wzgórz, gwiazd na nocnym niebie, oliwek na drzewach, szumu strumieni Józef zaczyna odzyskiwać wewnętrzny spokój, łapać równowagę, zaczyna też szukać najlepszego rozwiązania tej sytuacji – poprzez zakończenie ich związku. Dostrzeżmy, że nie widzi już możliwości dalszego bycia razem. Nie pyta, co w tej sytuacji zrobić, aby jednak pozostawić przy swoim boku tę, która do tej chwili była jego księżniczką, najpiękniejszym kwiatem pośród galilejskich łąk i ogrodów. Zamyka ten rozdział bezpowrotnie.

Jest to mocno zastanawiające. Nie widzi w sobie dostatecznej

mocy, aby dziecko uznać za swoje, wychowywać i wprowadzać w dorosłość, a Maryi pozwolić w dalszych latach ich życia udowodnić, że naprawdę Go kocha i że był to tylko moment ludzkiej słabości. Może dlatego w czasie swojego nauczania Jezus stwierdza: „Każdy, kto oddała swoją żonę – poza wypadkiem nierzędu – naraża ją na cudzołóstwo; a kto by oddaloną wziął za żonę, dopuszcza się



cudzołóstwa” (Mt 5, 32). Jest to fragment zagadkowy, pokazujący, że w przypadku dopuszczenia się przez żonę zdrady, możliwe jest oddalenie jej. Nie jest to przepustka do rozwodu, stanowiąca podstawę dla męża wejścia w kolejny związek. Jak potwierdzają komentarze, wyjaśnienie tej frazy jest dosyć trudne. Ale może także wskazywać na możliwość separacji, motywowanej brakiem możliwości bycia razem po przeżyciu tak silnego zranienia. Nie musi to być równoznaczne z brakiem wybaczenia. Zdradzony mąż mógł powiedzieć, że wybacza, ale nie jest w stanie na co dzień, pod jednym dachem żyć z ciężarem trudnych uczuć, których doznał od żony. Można wnioskować, że sam Jezus dopuszcza możliwość separacji w tym konkretnym przypadku, wychodząc naprzeciw głębi ludzkich odczuć związanych ze zdradą.

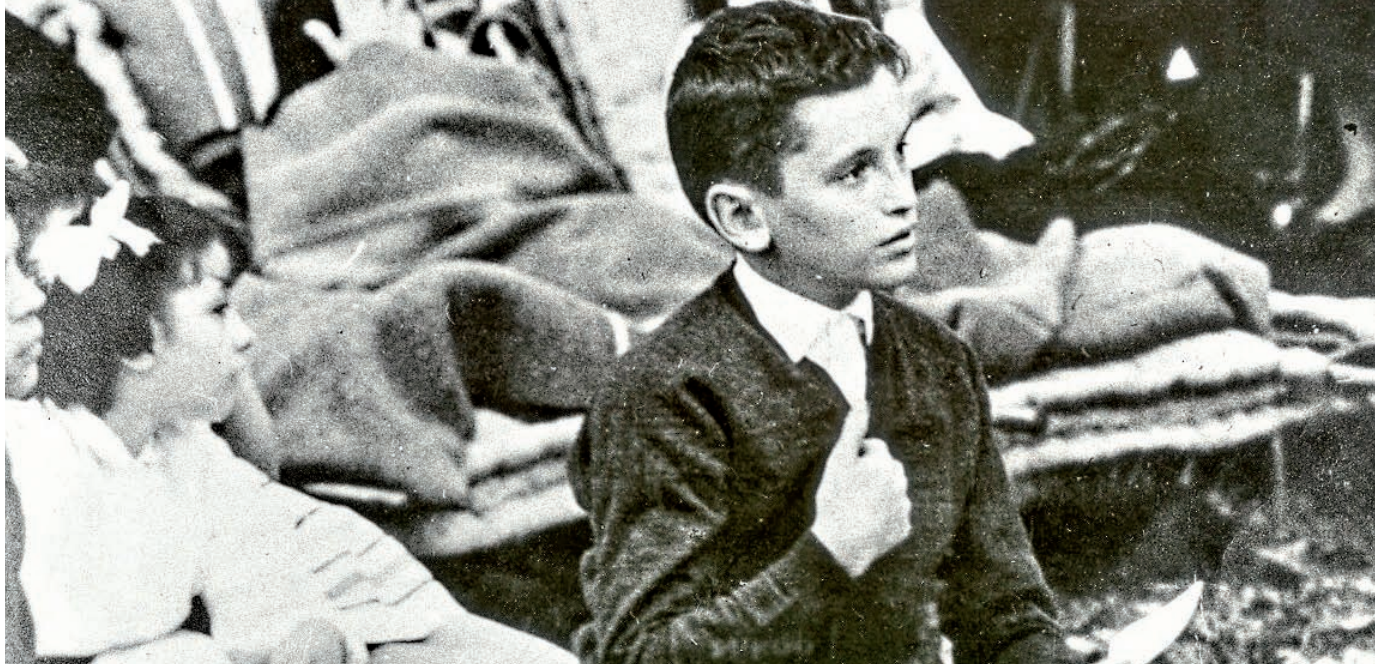
Do końca nie będziemy wiedzieli, dlaczego Józef nie bierze pod uwagę możliwości dalszego wspólnego bycia z Maryją. Wiemy tylko, że podejmuje decyzję oddalenia jej potajemnie: „Gdy powziął tę myśl, oto anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: «Józefie, synu Dawida, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło. Porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus, On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów.» A stało się to wszystko, aby się wypełniło słowo Pańskie powiedziane przez Proroka: *Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel*, to znaczy: „*Bóg z nami*”. Zbudziwszy się ze snu, Józef uczynił tak, jak mu polecił anioł Pański: wziął swoją Małżonkę do siebie, lecz nie zbliżał się do Niej, aż porodziła Syna, któremu nadał imię Jezus” (Mt 1, 20-25).

Tu znowu, podobnie, jak w odniesieniu do sceny zwiastowania, podkreślić należy, że Boży postanieniec przyszedł do małżeństwa Maryi i Józefa. Jest to bardzo konkretna nadprzyrodzona interwencja w ich związek, ratująca jedność, rozwiązująca problemy, kończąca kryzys, przywracająca nadzieję. Interwencja kompleksowa. Tak zawsze się dzieje, kiedy

w kłopoty małżeńskie wkracza Bóg ze swoim rozwiązaniem. Ratuje całościowo, w pełni, z dużym nadmiarem darów. Potwierdzeniem tego jest cud w Kanie Galilejskiej.

Oczywiście, w przekazie, który usłyszał Józef, nie wszystko było dla niego jasne i klarowne. Był człowiekiem bardzo mądrym, posiadającym dobre wykształcenie z zakresu wiedzy, jaką wówczas przekazywały chłopcom i młodzieńcom szkoły przy synagogach, charakteryzującym się wielkim bogactwem życia wewnętrznego. Jednak w konfrontacji z Bożym majestatem i wszechwiedzą Stwórcy musiał uznać swoją bezradność. Kto to jest Duch Święty? Jak może się począć dziecko w łonie kobiety bez udziału mężczyzny? Kim będzie ten niezwykły potomek, który ma zbawić lud od grzechów? Jaki jest związek między Nim i Maryją a zapowiedzią wiele wieków temu przekazaną królowi Achazowi, zapisaną w prorocztwie Izajasza (por. Iz 7, 14)? Uspokoiła się jego ludzka natura, wyciszyły odczucia niepewności co do wierności Maryi, eksplodowało jednak odczucie zawirowania, zamglenia, niemożności przeniknięcia wielkości Bożych tajemnic. Ogarnęło go wręcz oszołomienie, nieuniknione odczucie bezradności, zawsze towarzyszące osobie, która nagle spotyka się z Wszechmocą Bożą. Nasuwa się na myśl obraz w Góry Przemienienia, kiedy Piotr, obok którego stoi jeszcze Jan i Jakub, zupełnie przetrącony w swojej logiczności, pyta, czy ma rozbić namioty (por. Mt 17, 1-8).

Opisany aspekt cierpienia Męża Sprawiedliwego jest tylko jednym z wielu. Chronologicznie jest pierwszym. Było to jednak bolesne doświadczenie o skali największej z tych, które były jego udziałem. O kilku kolejnych napiszę w następnej części.



Święty uśmiechnięty

s. Beata Dyko SOdC

„Każde życie, nawet najmniej znaczące dla ludzi, ma wieczną wartość w oczach Boga” – św. Jan Paweł II. W oczach świata osoby z niepełnosprawnością są bardzo często gdzieś tam na marginesie życia, nieproduktywni, niepotrzebni. Pytanie, które się we mnie rodzi, jest jedno: Jak żyć? Czy nie stawiacie takiego pytania sami sobie? A może słyszeliście je z ust innych, tych, którzy jeszcze nie zaakceptowali swojej choroby, niepełnosprawności? Tym artykułem chcę Wam powiedzieć, że można żyć pomimo choroby, można być szczęśliwym, a jednocześnie być radosnym świadkiem wiary i ukazywać swoim życiem, że cierpienie jest tylko drogą do czegoś większego. Do osiągnięcia świętości.

W lipcu nasza rodzina nowarezjańska z radością przyjęła wiadomość, że papież Franciszek podpisał dekret o heroiczności cnót Sługi Bożego Angiolino Bonetty, co spowodowało, że od tego momentu Angiolino jest Czcigodnym Sługą Bożym.

Wielka radość ogarnęła nasze serca i z tej okazji chcę Was zachęcić do tego, byście częściej sięga-

li po lekturę historii życia np. naszych Siewców Nadziei, bo to oni poprzedzili nas w wędrówce ku świętości, pozostawiając wskazówki, jak żyć, jak sobie radzić, kiedy dotyka nas cierpienie.

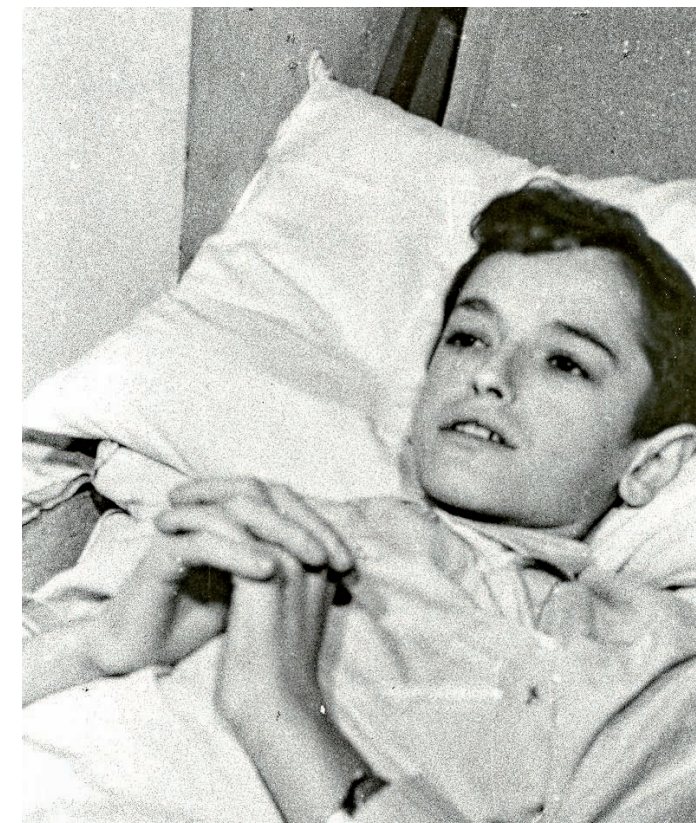
To, że papież Franciszek dostrzegł w naszym małym Angiolino przykład do naśladowania to jedno, ale to też oznacza, że młode pokolenie, nasza mło-

dziez będzie miała kolejną osobę, praktycznie rówieśnika, godnego naśladowania, a to wnosi nadzieję do naszego życia.

Przyznam się Wam, że w przeszłości łapałam się na myśleniu, że wszyscy Święci i Błogostawieni to ideały chodzące po ziemi. O, jak bardzo się kiedyś myliłam. Jak byłam niezorientowana w temacie... Mogę mieć pretensje tylko do siebie i do tego, że opierałam moje zdanie na krótkich artykułach w czasopiśmie, rzadko sięgając po książki z ich życiorysami. Myślałam bowiem, że się zanudzę takimi biografiami, bo oni byli przecież tacy kryształowi. Piszę o tym, byście nie popadli w podobną pułkę myślową i zachęcam, byście sięgali po książki, aby poznać tych, którzy tak jak każdy z nas mierzyli się z różnorodnymi problemami, a teraz są Świętymi i w drodze na ołtarze.

Angiolino Bonetta urodził się 18 września 1948 roku. Był dzieckiem bardzo żywym i jak przystało na małego chłopca, lubił płatać figle. Dodatkowo był bardzo wygadany, dzięki czemu wiele psot uchodziło mu na sucho. Jak mawiał bł. Novarese: „Miał swoje grzeszki za uszami”, bo zdarzało mu się skłamać, by ukryć jakiś wybryk czy czasami być nieposłusznym względem rodziców. Jednak to nie przeszkodziło Panu Bogu, by rozpocząć proces kształtowania jego osoby na obraz i podobieństwo samego Boga.

Wielkim wydarzeniem w życiu siedmioletniego Angiolino było przyjęcie pierwszej Komunii Świętej – 14 kwietnia 1955 r. Można powiedzieć, że był to moment zwrotny w życiu chłopca. Pojawił się Ktoś wielki w jego życiu. Przyjaciół, który nigdy nie zawodzi. Całe jego siedmioletnie życie nabrało zupełnie nowej perspektywy. Będąc tak małym chłopcem, miał w sercu pragnienie, by codziennie uczestniczyć w Eucharystii. Wstawał o szóstej rano, by móc dotrzeć do najbliższego Kościoła. Był również codziennie na plebani czy w świetlicy parafialnej – tam na światło dzienne wychodziły jego talenty organizatora, żywo uczestniczył w dyskusjach, zabawach.



Wszędzie było go pełno. Nie myślał jednak o tym, by zostać księdzem. Można śmiało powiedzieć, że okres dzieciństwa był dla Angiolina czasem pięknym, pełnym zabaw, przyjaźni, radości.

Po ukończeniu szkoły podstawowej rozpoczął się dla niego zupełnie nowy etap w życiu: etap doświadczenia cierpienia – cierpienia, którego sam sobie nie szukał. W 1960 roku, będąc w internacie, zaczął odczuwać ból w prawym kolanie. Kolano było opuchnięte. Wspominał o tym mamie, ale na początku starał się podejść do tego z dystansem, jakby nie działo się nic złego. Zwykła przypadłość. W czasie odwiedzin mama zauważyła, że Angiolino bardzo schudł, że kuleje i że ewidentnie bardzo go boli, przez co bardzo cierpi. Postanowiła udać się z nim do lekarza. Po wynikach diagnoza była jedna: nowotwór złośliwy.

Tak się zaczęła dla niego droga krzyżowa. Dzięki modlitwie, gorliwości, uczestnictwie w Eucharystii

tii, w małym Angiolino zaczęła pracować łaska Boża. Już wtedy należał do Centrum Ochołników Cierpienia i to też od nich czerpał siłę, aby zność cierpienie. Wiedział też, że ofiarowując swoje cierpienie, może pomóc innym, co czynił z wielką radością.

Stan się pogarszał i trzeba było amputować nogę, by nie było przerzutów. To, co mnie ujęło w Angiolino, to sposób rozmowy z lekarzem. Była to dojrzała rozmowa, pokazująca, że był on całkowicie świadomy tego, co się dzieje i co się może stać. Ale zaraz po niej zupełnie zmienił ton i żartobliwie zwrócił się do swojej mamy: „Jedna noga więcej, jedna mniej...! Ale pamiętaj!

Jeśli obetną mi nogę, będę chciał w zastępstwie dokładnie taką samą jak ta!” (Felice Moscone, *Siewcy nadziei*, s. 162).

Co się nie robi, by ochronić najbliższych przed złymi wiadomościami... Któż z nas tak nie czynił!?

Przed samą amputacją Angiolino powiedział: „Ofiarowałem już wszystko za nawrócenie grzeszników!”. Już wtedy żył w szkole bł. Luigiego Novarese i najlepiej, jak tylko umiał, był świadkiem wiary, świadkiem cierpiącym, ale rozumiejącym, że cierpienie jest powołaniem, które on sam chciał realizować właśnie wśród Cichych Pracowników Krzyża. Wiedział, gdzie szukać pomocy: Eucharystia, modlitwa, miłość do Matki Bożej i dzięki temu do końca zachował swój uśmiech, promieniował radością i nadzieją.

Nie rozstawał się z różańcem. Poprzez formację „w szkole Maryi” dokonały się w nim wielkie zmiany. „W ciągu zaledwie dwóch lat i czterech miesięcy przeszedł całą drogę ascezy i osiągnął szczyt mistyki”. Nie wyobrażał sobie już innego życia. Doskonale wiedział, że człowiek, jeśli zaakceptuje swoje cierpienie, znieś je z miłością dla innych i ofiaruje je Bogu, to ono stanie się nie tylko darem

dla innych, ale też przyniesie obfite owoce w życiu samego cierpiącego.

Bł. Luigi Novarese tak mówił: „*Obowiązkiem każdego chrześcijanina jest, aby jego własne życie było żywym, prawdziwym, stałym świadectwem Chrystusa. Nie zadowolaj się tym, czym jesteś, staraj się być zawsze coraz lepszym: nie dążyć do szczytu gór znaczy zawrócić do doliny!*” (*Siewcy Nadziei*, s. 167).

Angiolino nic innego nie robił i każdego dnia pokonywał samego siebie, by osiągnąć szczyt świętości. Jednocześnie posiadał niesamowity dar pocieszenia, dodawania otuchy.

Dojrzewając w łasce, stawał się coraz bardziej zjednoczony z Jezusem Ukrzyżowanym. Tuż przed złożeniem ślubów i przyjęciem do Cichych Pracowników Krzyża powiedział: „*Moim powołaniem jest cierpieć aż do samego końca!*”. Tak też się stało.

28 stycznia 1963 roku, w wieku 15 lat, odszedł do Pana, a przyszła po niego sama Matka Boża, gdyż jak sam mówił: zawarł pakt z Matką Bożą.

Co nam dziś mówi Czcigodny Sługa Boży? Co mówi każdemu cierpiącemu, temu, kogo boli, kiedy doświadcza niezawinionego cierpienia, kiedy płacze?

„*No dalej..., nie płacz już. Te łezki są bardzo cenne. Dlaczego nie ofiarować ich Matce Bożej? Ona wszystko przyjmie: jest naszą mamą!*” (*Siewcy Nadziei*, s. 172).

A Błogosławiony Luigi Novarese dodaje: „*Dlaczego zasmucać się cierpieniem? Przy każdym krzyżu stoi Niepokalana Matka Boża!*” (*Siewcy Nadziei*, s. 166).

Prośmy Czcigodnego Sługę Bożego Angiolino Bonetta o łaski, których potrzebujemy i pamiętajmy, że jest on jednym z wielu Siewców Nadziei, którzy orędują za nami w niebie.



Księżu Januszu – DZIĘKUJEMY!!!



